Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 27. Czerwca 1880 r. **Tom X.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 26.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

PAMIĘTNIKI POWSTAŃCA

z 1863 i 1864 r.

Przejrzał i przypisami uzupełnił

ZYGMUNT LUCJAN SULIMA.

KSIĘGA PIERWSZA.

BOŃCZA.

I.

Treść: Wstęp — wieści — mój wyjazd z Warszawy — pobyt u rodziców — napad na żandarmów w Grodzisku—chybiona formacja oddziału—rzeź w lasach Bolimowskich — oddział Rawski—Bończa — historja oddziału Drewnowskiego — formacja oddziału Bończy i jego przeznaczenie—marsze po Krakowskiem i Opoczyńskiem — Nowe miasto i zabranie kasy.

Będąc naczelnikiem zbrojnego powstania w 1863 r. i włócząc się po kraju z różnemi oddziałami przez ciąg piętnastu miesięcy, spisałem z całą sumiennością i rzetelną prawdą te wypadki, w których brałem udział, na które patrzałem własnymi oczyma, lub o których miałem dokładne wiadomości. Do spisania takowych miałem dwa powody, a mianowicie: sprostowanie faktów przekręconych przez nieprzyjaciela nieraz nie do poznania, nagiętych i urobionych stosownie do jego widoków i potrzeb, a zawsze z celem wystawienia całego powstania w najgorszem świetle, a powstańców jak zgrai rozbójników, oraz przekonanie, że wszelkie fakta odnoszące się do historji narodu, podane rzetelnie, mają zawsze pewną wartość, jeżeli nie ogólną społeczną, to jako materjał historyczny, często poszukiwany nadaremnie i bezskutecznie. Pamiętniki te piszę nie z zarozumiałością historyka a nawet literata, gdyż do poglądów krytyczno-historycznych i obrobienia literackiego, nie mam najmniejszej pretensji, notowałem same fakta i wypadki osobiste, pozostawiając rozbiór przyczyn i smutnych następstw powstania, ludziom więcej wtajemniczonym w działania rządu narodowego i posiadającym w tym względzie odpowiednią znajomość rzeczy.

W końcu stycznia 1863 r. zaczęły obiegać po Warszawie głuche z początku wieści o zbrojnem wystąpieniu narodu, o formujących się w różnych stronach kraju oddziałach i urządzonych na wroga napadach. Wieści te co dzień, co godzina prawie rosły, olbrzymiały, burząc w młodzieży nieostygłą jeszcze od przedwstępnych demonstracji krew i rozniecając szalony zapał, pobudzały do ogólnej prawie emigracji i szukania na polu bitwy sławy i wywalczenia upragnionych swobód. Jako chłopak dwudziestoletni, żywego temperamentu, gorącej wyobraźni, nic dziwnego, że dałem się porwać ogólnemu prądowi, i w początkach lutego wyjechałem z Warszawy, celem połączenia się z jednym z formujących się oddziałów w głębi nieodstępnych puszcz, wśród mrozów i zasp śniegowych. Powodem do tej ostrożności była nie tyle ogłupiała na razie Moskwa, ile nieufność do ludu wiejskiego, który pomimo pewnego przygotowania przez wysłanych na ten cel agentów, dzięki nieumiejętnemu i niepolitycznemu jak zwykle postępowaniu szlachty, nie ufał bratnim, tyle razy niedotrzymanym obietnicom i na przesuwających się powstańców patrzał podejrzliwie, a czasem nawet i złowrogo.

Po drodze wstąpiłem do rodziców mieszkających o parę mil od Warszawy. Odkrywszy im swój zamiar, znalazłem ich nadspodziewanie przygotowanych i nie robiących żadnych trudności. Poczciwe ojczysko wziął mnie na stronę i rzekł:

— Idziesz walczyć za kraj, dobrze, nie bronię ci tego — ale pamiętaj, że nie po to idziesz, aby cię kraj próżno żywił, abyś był darmozjadem, ale abyś oddał istotną posługę. Jeżeli przeto nie czujesz w sobie dostatecznej odwagi i masz skalać się tchórzostwem, lub nie daj Boże zdradą, to lepiej pozostań — przykroby mi było niewymownie, gdybym zmuszony był traktować cię z pogardą lub rumienić się za swego syna. Pamiętaj, że ci to mówi ojciec, który cię bardzo kocha.

Pocałowałem ojcowską rękę, dziękując za radę i zapewniłem, że podejrzenia jego nigdy się nie sprawdzą, czuję bowiem w sobie dosyć męztwa i odwagi, aby nie być tchórzem i zdrajcą. Biedny szaleniec! głowa się paliła. Iluż to było szaleńców podobnych mnie.

Matka, kochana matka tłumiąc w sobie łzy i błogosławiąc, zawiesiła na moich piersiach medalik Matki Boskiej, prosząc aby mnie nigdy nie odstępował, co też w istocie wypełniłem.

W domu zabawiłem kilka dni, przygotowując się i zaopatrując w przedmioty nieodzowne do nowego zawodu. W ciągu tych kilku dni partje warszawskich wychodźców przechodziły przez naszą wieś nocami, nie zatrzymując się wcale, w kierunku Opoczyńskiego i Rawskiego, powiększając się w drodze napływem różnego stanu młodzieży, z wyjątkiem chłopstwa, które dobrowolnie prawie nigdzie nie wstępowało w szranki bojowników.

Dnia 13. lutego w nocy, odebrałem zawiadomienie, w rodzaju polecenia, przybyć do Grodziskiej karczmy, na godzinę 12 w nocy następnego dnia. Nie rozbierając przyczyn podobnego wezwania, cały rozgorączkowany panującym w powietrzu szałem, nęcony tajemniczością przedsięwzięcia, chociaż w części domyślałem się o co idzie, na drugi dzień o naznaczonej godzinie, czekałem we wskazanym punkcie. Karczmarz miejscowy widać był uprzedzony, gdyż późne moje odwiedziny wcale go nie zadziwiły, zaproponował mi nawet gościnnie posiłek z wódki i jajecznicy. Po półgodzinnem może oczekiwaniu, usłyszałem tentent przed karczmą, a za chwilę potem wszedł, znany mi z widzenia p. B***, dziedzic niedalekiej wioski, ze swym bratem

i niejakim p. Józefem. W krótkich słowach p. B*** objawił nam cel zebrania, szło bowiem o rozbrojenie dwóch żandarmów konsystujących na kolei żelaznej, którzy na wszystkich innych stacjach tejże samej nocy, mieli uledz podobnemuż losowi.

— No, w imię Boże, rzeknie p. B***, jest nas czterech bezbronnych a dwóch orężnych, przedsięwzięcie powinno nam się udać skutecznie, ruszajmy!

Noc była ciemna, choć oko wykol, śnieżek na wpół z deszczem ciął nas po twarzy a wicher przeraźliwe zawodził tony, jak gdyby ciągłą swą harmonją, chciał mocniej uspić zagrożonych nieprzyjaciół. Ostrożnie postępując i nikogo nie spotkawszy na drodze, przybyliśmy do stacji, gdzie w stojącym opodal letnim pałacyku mieli kwaterę żandarmi.

W korytarzu Józef zapytał p. B***, czy nieprzyjaciela oszczędzać, czy nie pardonować choćby nawet po poddaniu się. P. B*** odrzekł, że nie przyszedł tu jako morderca, i zabije wtenczas nieprzyjaciela, gdy sam będzie zagrożony.

Widocznem było, że Moskwa nieprzypuszczała lub nie miała pewnych wiadomości, aby formowało się w kraju zbrojne powstanie; dowodem tego było pozostawienie drobnych komend wojskowych na dawnych posterunkach i zupełna ich nieostrożność, drzwi bowiem prowadzące do pokoju żandarmów były niezamknięte a oni sami rozebrani spali tak spokojnie jak za czasów Paszkiewicza...

Pochwyciwszy broń stojącą obok nich, zaczęliśmy ich budzić ze słodkiego snu. P. B*** zapalił świecę. Z początku nie pojmowali o co chodzi, ale gdy zobaczyli swą broń w naszych rękach i zastanowiwszy się nad dziwną i niezwykłą wizytą, zaczęli pojmować o co idzie. Oporu stawiać nawet nie próbowali a p. B*** objaśnił im, że są rozbrojeni przez powstańców polskich i nakazał im pod utratą życia do godziny ósmej rano nie wychodzić z kwatery. Z początku nie pojmowałem tego rozkazu, później jednakże przekonałem się, że miał swoją podstawę, a mianowicie, przeszkodzić im żeby nie telegrafowali a tym sposobem nie dozwolić sparaliżowania podobnych napadów po innych miejscach. Nasi niewolnicy tak byli osołomieni gwałtownością napadu, trwogą i niezwykłem zjawiskiem, że pokornie obiecali a nawet przysięgli spełnić polecenie z całą akuratnością, prosząc przytem o pozwolenie wyjazdu do Warszawy. Przekonaliśmy się później, że obietnicy swej dotrzymali sumiennie, punkt o 8-mej wyszli ze swych kwater i nie czekając pociągu, piechotą udali się do Warszawy.

Powróciwszy do karczmy z powrotem, p. B*** oświadczył nam, że ma polecenie Rządu Narodowego na formowanie zbrojnego oddziału, i że nas uważa jako zawiązek takowego i ma nadzieję, że do 4-ch doda niedługo zero, potem drugie, trzecie i tak dalej i w końcu nie będziemy kryć się po lasach jak opryszki, ale śmiało, z wiarą w zwycięstwo i słuszną sprawę, zajrzemy w oczy wrogowi, rugując go z naszych ziem i miast ze szczętem. Po tej zachęcającej przemowie, dumni w części z dokonanego czynu rozbrojenia nieprzyjaciela, ruszyliśmy do Osuchowa pomiędzy Mszczonowem a Grodziskiem, gdzie naznaczony był ogólny punkt zborny dla formowania oddziału i gdzie wedle dostawionych przez agentów Rządu Narodowego wiadomości, miała już oczekiwać spora gromada młodzieży, po części uzbrojonej.

Przybywszy do Osuchowa, doznaliśmy smutnego rozczarowania, dowiedzieliśmy się bowiem, że zebrało się rzeczywiście około 30 ludzi, ale po walnej naradzie, trochę zaznawszy zimna i głodu, uznali za stosowne powrócić do ciepłych łóżek i dobrego stołu; nie pozostał ani jeden. Polacy są dobrymi żołnierzami, ale nie trzeba im dawać próżnować, w pierwszych porywach, pod wpływem wrażeń, gotowi są cuda działać, w rozmyślaniu zaś bezczynnem tracą bardzo prędko energję i stałość charakteru. O tej prawdzie powtarzanej tyle razy jeszcze przez przodków naszych, przekonałem się dowodnie i naocznie w nieszczęśliwej ostatniej ruchawce.

B*** wściekał się z początku ze złości, groził, że tchórzom w łby będzie strzelał po kolei, ale w końcu ochłódł i uznał, że organizacja oddziału tak blisko Warszawy prowadzoną być nie może z należytym skutkiem, gdyż każdej chwili Moskwa może napaść na bezbronnych i wyrznąć jak baranów; wystosowawszy więc stosowną odezwę do kogo należało, oświadczył nam, że pojedzie w Krakowskie, gdzie oddziały były już dosyć znaczne co do liczby i zaopatrzone w należytą broń — i pojechał — ale do domu.

Taki był początek jak tu, tak i wszędzie prawie, zbrojnego powstania. Ociąganie się, brak należytej, prawdziwej energji i silnej woli, różne przeróżne względy i każdego oddzielne zapatrywanie się na stan rzeczy w pierwszych chwilach najważniejszych w każdej rewolucji, w której każda minuta niespożytkowana należycie, ginie bezpowrotnie, a często obraca się na złe i własną szkodę, paraliżowało początki powstania najniekorzystniej w świecie, wystudzało potroszę ten zapał, który rzeczywiście nieraz stwarza rzeczy niemożebne, a co najważniejsza wszystkie te błędy dodawały otuchy wrogowi, w pierwszej chwili strwożonemu i będącemu tego przekonania, że ma do czynienia nie z garstką zapaleńców i awanturników, ale z całym narodem, strasznym, bo zrozpaczonym!

Po dokonaniu owej wyprawy na żandarmów i zmianie projektu co do formacji oddziału, powróciłem do domu niezachwiany w swoich zamiarach wystąpienia czynnie, czekałem tylko przyjaznej okoliczności. Miałem zamiar przyłączyć się do wychodzących z Warszawy, lecz partje tych wychodźców, tak jakoś dziwnie i tajemniczo prześlizgiwały się, żem nie mógł nigdzie żadnej napotkać. Wychodzili zwykle nocami, przez okopy i maszerowali do rana.

W trakcie tego oczekiwania doszła nas wiadomość, że w lasach Bolimowskich, około Skierniewic, napadniętą została przez Moskali partja formujących się powstańców pod dowództwem jakiegoś Litwina, i po części zostali wymordowani, po części zabrani do niewoli*). Na owych biedaków wysłaną była z Warszawy gwardja litewskiego czy też wołyńskiego pułku, która prawdziwie po rycersku się popisała, mordując bezbronnych i dzieciaków, dużo bowiem w tej partji było uczniów gimnazjum warszawskiego.

Wieści te potwożyły na chwilę mniej zapalonych, ale wychodzące wtedy gazetki narodowe, mianowicie: „Strażnica“, zakomunikowaniem zwycięztw odniesionych w innych częściach kraju przez powstańców, rychło wygluzowały z pamięci klęskę Bolimowską.

Nareszcie doczekałem się w początkach marca upragnionej sposobności. Oddział Warszawiaków liczący ze 100 ludzi, przechodził przez naszą wieś. Po serdecznem pożegnaniu z rodzicami i powtórzeniu przez ojca obowiązków dobrego żołnierza i Polaka, złączyłem się z partją i zaraz wyruszyliśmy nocą dalej. W drodze dowiedziałem się, że wskazano im Rawskie, gdzie są przeznaczeni do oddziału mającego się formować pod nazwiskiem województwa Rawskiego.

Nad ranem przybyliśmy do Popiel pod Mszczonowem. Mróz dochodził do 10 stopni, polokowaliśmy się po stajniach, owczarniach, jak któren mógł, dużo bowiem było biedaków mizernie odzianych, których w pochodzie chyba grzał zapał patrjotyczny i nadzieja zbliżającej się wiosny.

Na drugi dzień rano przybył do nas jakiś obywatel i wskazał nam kwatery po kilku i kilkunastu, po różnych wsiach w promieniu jednomilowym, dodając, że o czasie i miejscu zebrania będziemy powiadomieni, dotąd zaś, prosił nigdzie nie oddalać się bez rozkazu. W marcu już powstanie tak się posunęło, że nie po lasach, zaroślach, ale po wsiach i miasteczkach jakby w czasie pokoju powstańcy stali na kwaterach.

Oczekiwaliśmy na broń i umundurowanie. Przeszedł jeden tydzień, drugi i trzeci w ciągłem oczekiwaniu ogólnego zebrania i wystąpienia, ludzi przybywało coraz więcej, których rozkwaterowano tak samo jak i nas po wsiach i miasteczkach. W końcu czwartego tygodnia, nie jeden gorętszej krwi, żądny bojów i niebezpieczeństw, poczynał się niecierpliwić, tembardziej że o walkach Langiewicza, Jeziorańskiego, Mierosławskiego dochodziły nas wieści ze wszech stron, które podawane z ust do ust potęgowały się i wystawiały je jako wielkie zwycięztwa i tryumfy.

Bezczynne siedzenie po chałupach przyprowadzało nas do rozpaczy. Nadszedł wreszcie i kwiecień, a rozkazu do zebrania jak nie ma tak nie ma i już przemyślaliśmy w kilku ruszyć bez rozkazu w Krakowskie, gdy jednego dnia dano nam znać, że niedaleko w lesie stoi partja powstańców, zdążająca w Opoczyńskie.

Bez namysłu i nie bacząc na rozkaz wyruszyliśmy bezwłocznie do nowych towarzyszów; zastaliśmy ich w lesie pod Osuchowem. Oddział składał się z 200 ludzi, po większej części Warszawiaków, uzbrojonych w kije i proste lance, sporządzone w czasie marszu, ja jeden byłem uzbrojony w pałasz żandarmski i pistolet bez nabojów. Oddziałem tym dowodził jakiś pan Ki... były ruski burmistrz, figura wielce zagadkowa i nieokreślona, i tego samego dnia ruszyliśmy dalej ku Mogielnicy. Tutaj przyznać się muszę, że niesubordynacja, krzykliwość całej tej hałastry, złożonej z ludzi różnego stanu, i dziwnie coś nie wojskowego w postaciach malców 15 i 16 letnich, zaczęły niekorzystnie oddziaływać na mój zapał i wyobrażenia i mimowolnie cisnęły się przypuszczenia smutnych następstw. Popłoch jakiemu cały oddział uległ, zobaczywszy na górach konnego człowieka, którego wzięto za kozaka, i pierzchanie w panicznym przestrachu, dowiodło mi, że na siłę oręża i odwagę osobistą takich wojaków nie wiele można rachować; wprawdzie na usprawiedliwienie ich

*) Rzeź Bolimowska miała miejsce d. 7. lutego 1863 r. (Przyp. wydawcy).

można przytoczyć tę okoliczność, że był to naród bezbronny.

Przypuszczenia te odpędzałem od siebie wszelkiemi siłami, czułem jednakże instynktownie, że sami, z ludźmi niewyrobionymi, bez pomocy obcej, nic nie zrobimy i zakończy się ta komedja bardzo smutnym finałem.

Takie myśli przechodziły przez głowę chłopca dwudziestoletniego, gorącej wyobraźni i nie lubiącego zastanawiać się na raz obranej i upragnionej drodze. Niestety! przeczucia moje spełniły się w prędszym jak myślałem czasie.

Po dwóch dniach marszu, radośnie będąc witani po drodze i gościnnie podejmowani, przybyliśmy pod Nowe Miasto nad Pilicą i ulokowaliśmy się w lesie, z tamtej strony rzeki, w prawdziwej puszczy, gęstej, nieprzebytej i niezmiernie obszernej — w owe bowiem czasy, bory poczynające się od Nowego Miasta, ciągnęły się nieprzerwanem prawie pasmem aż pod Sandomierz i Św. Krzyż, na przestrzeni od 20 do 30 mil — i to lasy odwieczne, niebotyczne, gdzie może siekiera człowieka nie postała. Na miejscu znaleźliśmy przygotowaną żywność dla siebie i koni — i każdy otuliwszy się czem mógł, a zimno było przenikliwe, legł na spoczynek. Pierwszy to był mój nocleg pod gołem niebem. Pomimo utrudzenia wskutek całodziennego marszu, usnąć nie mogłem. Przyzwyczajonemu do wygodnego i ciepłego łóżka, zmiana taka przypaść do gustu nie mogła, i zaledwie nad ranem udało mi się zdrzemnąć. Czy drudzy również uczuli w całej swej mocy niewygody życia obozowego — nie wiem, ale prawdopodobnie że tak, gdyż całą noc słyszałem gwar około wielkiego ogniska i ciągłą gawędę. Na drugi dzień, około 10tej rano, usłyszeliśmy tentent zbliżającej się konnicy; powstała z początku trwoga — rychło jednakże, uspokojona wiadomością, że to kawalerja narodowa. Jakoż w istocie, ujrzeliśmy około dwudziestu jeźdźców, uzbrojonych należycie, a na czele człowieka dobrego wzrostu, mocno zarośniętego, w którym mimowolnie każdy z nas poznał dowódcę. Był to Bończa, czyli właściwie Tomaszewski, oficer wojsk moskiewskich. Po krótkiej przemowie, zachęcającej nas do chwały, zalecając przedewszystkiem posłuszeństwo bez granic i karność wojskową, bez czego żołnierz nie jest żołnierzem, Bończa zajął się rozsegregowaniem ludzi, jednych naznaczając do kawalerji, probując ich zdolności, t. j. czy umieją jeździć — i takich znalazło się bardzo niewielu — a drugich odsyłając do piechoty. Jako mieszkaniec wsi, umiałem nieźle siedzieć na koniu, zaliczony więc zostałem do kawalerji, której liczba po skompletowaniu wynosiła 70 ludzi. Pozostałych 150 odprawił z powrotem do Drewnowskiego, formującego oddział, tak nazwany Województwa Rawskiego, z którego właśnie drapnąłem, nie mogąc znieść bezczynności i nudów.

Oddział ten, jak się poźniej dowiedziałem, wzrósł do 2000 ludzi i nic nie zdziaławszy, nie wystąpiwszy nawet w pole, pomimo uzbrojenia i umundurowania, dla niewiadomych mi przyczyn, został przez Drewnowskiego rozpuszczony niespełna w miesiąc, a ludzie rozbiegłszy się po kraju, powstępowali do innych oddziałów, lub dawszy za wygraną, powrócili do domów. O ile słyszałem od obywateli z Rawskiego, oddział ten najwięcej może kosztował pieniędzy i trudu z całego powstania — zakrawał na dużą i regularną armię, a nie oddał usług małej placówki. Było przygotowane umundurowanie kompletne na 3000 ludzi i umontowanie na 200 koni — broń w należytej ilości sprowadzona z Austrji i Belgji, poczęści została rozdana innym oddziałom, a poczęści zabrana przez Moskwę ze składów. Oddział ten formował się potem powtórnie, ale z takimże samym skutkiem. Widocznie ludzie, składający organizację cywilną tego województwa, nie szczędząc pieniędzy, nie umieli się wziąć do rzeczy.

Wybrani przez Bończę do kawalerji, byli po większej części młodzi synowie obywatelscy i w ogóle mieszkańcy wsi, a słabością ogólną w całem powstaniu było należeć do konnicy. Ludzie, którzy nigdy nie próbowali nawet konnej jazdy, nie wiedzieli z której strony dosiadać konia, darli się prawie gwałtem, nie patrząc na swoje niedostatki pod tym względem, do pułków kawalerji — to też bardzo często się zdarzało, że w potyczkach największą stratę ponosiliśmy w ludziach, którzy nie umieli jeździć i których konie, jako nieużyteczny ciężar, zrzucały.

Z lasu wyruszyliśmy na folwark Wysokin i staliśmy tu kwaterą około dwóch tygodni — w ciągu tego czasu zajmując się musztrą i obrotami wojennemi, jak również strzelaniem do celu i w ogóle poznaniem elementarnych zasad, niezbędnych dla każdego żołnierza. Tutaj przyobleczono nas w mundury, pierwsze w powstaniu, składające się z czerwonych koszulek, niebieskich spodni i białych konfederatek. Mundury te były prawda niekosztowne, ale też i niepraktyczne, koszulki bowiem tak nazwane „garibaldki“ były szyte z tybetu, materjału nadzwyczaj nietrwałego i nieodpowiedniego naszemu klimatowi; gdzieś pod gorącem niebem Italji mogły być dobre i praktyczne, ale w Polsce, w kwietniu, gdzieby przydały się nieraz kożuszki, były po prostu strojem śmiesznym, niewygodnym i po miesiącu noszenia zdatnym tylko na śmiecie. Kto nie miał ze sobą cieplejszego ubrania, dniami i nocami dygotał od zimna w nowych mundurach, a iluż to było takich biedaków, którzy pod bluzką nie mieli koszuli.

Broń nam nadesłano w dostatecznej ilości, pałasze długie, proste, w żelaznych pochwach, austrjackie — i lance, oprócz tego pistolet lub rewolwer. Poźniej nawet nadesłane nam zostały karabinki małe, kawaleryjskie.

Przez czas pobytu w Wysokinie, napływem ciągłym ochotników oddział powiększył się do 200 ludzi, dobrze uzbrojonych, należycie umundurowanych i na dobrych koniach — a zaprowadzony ład i obeznanie się w części z obrotami wojennemi, nadawało oddziałowi militarną postawę i czyniły wrażenie regularnego wojska. Niestety! przeznaczono go na przeciąganie po kraju w różnych punktach — obowiązany był mieć nadzór nad miejscowościami zagrożonemi przez nieufne chłopstwo, prześladować źle myślących i niechętnych a unikać ile możności utarczek z wojskami moskiewskiemi, czyli po prostu pełnić funkcją żandarmerji wieszającej, jak ją zwali Moskale. O przeznaczeniu tem długi czas nie wiedzieliśmy, gdyż niejeden byłby może wystąpił i przeniósł się do innego oddziału więcej czynnego — a staranne unikanie Moskwy i ciągłe przewłóczenie się z Opoczyńskiego w Rawskie, z Rawskiego w Krakowskie i t. d., uważaliśmy jako zgodne z wyższemi planami i potrzebą wyczekiwania, dopóki siły całego kraju tak się nie rozwiną i nie zorganizują, że będą czuły się na siłach wystąpienia do walki z wrogiem i mieć szanse powodzenia. W ciągu tego czasu o Moskwie nawet nie słyszeliśmy — pozostawili nas w zupełnej swobodzie. W owych bowiem czasach tyle się formowało oddziałów po różnych stronach kraju, tyle mieli sprzecznych i przesadzonych nieraz doniesień o siłach, zasobach i ogólnym zapale, że nie wiedzieli w którą stronę skierować się najprzód — siły zaś mieli w królestwie bardzo niewielkie, drobić ich zatem na małe oddziały i osłabiać pewne punkta, obawiali się — sądzę przeto, że o formowaniu się naszego oddziału w Wysokinie mogli nie wiedzieć.

Po dwóch tygodniach pobytu w Wysokinie wyruszyliśmy do Nowego Miasta, gdzie ludność witała nas z entuzjazmem i niekłamaną radością. W kościele XX. Kapucynów wysłuchaliśmy mszy św. i odśpiewali hymn „Boże coś Polskę“. Cała ta uroczystość, przy napływie niesłychanej masy narodu, miała w sobie coś niewymownie poważnego i przejmującego — a radość mieszkańców na widok polskiego żołnierza nie miała granic. Niejednemu zdawało się, że widzi Polskę odbudowaną, po staremu sięgającą swemi granicami Bałtyku i morza Czarnego, że żołnierz ten, którego miał przed sobą, będzie niezwyciężonym — i na ten temat marzył długo i rozkosznie — snuł w swej imaginacji obrazy cudowniejsze jedne od drugich, nie przypuszczając ani na chwilę, aby jego złote sny nie miały się co do joty spełnić — taki był ogólny szał czy zaślepienie. Ojciec mój, pamiętający rewolucją 31. roku, mówił mi, że ani połowy tego zapału nie było wtenczas, przeciwnie dużo nawet było nieukontentowanych — a co do ofiar poniesionych w darze na ołtarz ojczyzny, rewolucja 1831 r. nie mogła iść w porównanie z powstaniem 1863 r. Zdawało się, że każdy tak był pewny tego lepszego jutra, tak zaufany w niezawodne powodzenie i oczekiwany oddawna rezultat, że poprzestał rachować i obliczać — i z widocznem nadwerężeniem swej fortuny, przykładał się do ogólnej sprawy, rzucając szczodrą ręką ciężko zapracowany grosz, chociaż ta chwila szału i zgubnej pewności przeminęła niedługo — w miesiącu sierpniu i wrześniu ostygł ten zapał znacznie i czułeś nieraz obojętność i zniechęcenie.

W Nowem Mieście egzystował wówczas magazyn solny. W kasie było 11 tysięcy złp., które Bończa zabrał, wydawszy stosowne pokwitowanie miejscowym urzędnikom. Czy ono dostatecznym było dowodem dla władzy? czy zasłoniło tych ludzi od odpowiedzialności? nie wiem. Już to w powstaniu najnieszczęśliwsi byli urzędnicy małych miasteczek, posądzani o zdradę przez powstańców i prześladowani przez Moskwę za brak gorliwości — a bywało tak, że niejeden przypłacił szubienicą lub Sybirem, stosownie jak okoliczności go postawiły winnym w oczach jednych lub drugich.

Z Nowego Miasta wyruszyliśmy w Krakowskie kwaterując swobodnie po wsiach i miasteczkach przez cały kwiecień i maj. Moskwa nawet nie kusiła się prześladować nas. Czy to wypływało z przekonania o wielkich naszych siłach, czy też, co jest prawdopodobniejsze, pozwalali umyślnie na formowanie oddziałów, aby kraj wyniszczył się więcej materjalnie, a tem samem popadł na długie lata w nędzę i idący zatem spokój — dosyć, że najspokojniej przechodziliśmy wzdłuż i wszerz całe Opoczyńskie, Krakowskie i Sandomierskie, nigdzie nie

widząc śladu nieprzyjaciela. Niejeden zaczynał wątpić, czy Moskale są w kraju.

Taki był stan rzeczy, gdy zaszły nowe wypadki. Nim jednak do ich opisu przystąpimy, należy nam wprzódy rzucić okiem na stan powstania w innych częściach kraju. (C. d. n.)

ZADORA

Historja z końca XVIII. wieku.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

W Kodniu wszystko było po staremu, ale teraz księżna tu rzadziej dojeżdżała, siadywała krócej, dwór jej się trochę rozpierzchnął, a co do niego przylgnęło, postarzało, podupadło.

Drobisz przez te lat ośm, choć się zawsze trzymał, choć też same obwiązki, których co raz mniej było, spełniał — posunął się znacznie. Chód nie był tak pewny, ociężały i plecy się przygarbiły, polowanie go tak nie nęciło, rad czasem w ciepłym kącie się zasiadywał i na nogi kawęczał. O starych czasach opowiadając, powtarzał się, a nowe jakoś mu się daleko gorszemi od tamtych wydawały. Według niego ludzie, klimat, wszystko podupadało i psuło się. W dodatku jak nie na Infułazji z księżmi, lub na zamku z oficjalistami, nie miał z kim gadać.

W rezydencji przez większą część roku pusto było.

Jacek Zadorski o którego pobycie w Warszawie i staraniach wiedział, mocno go zawsze zajmował — tem bardziej, że z karteczek od niego odbieranych przy listach do Łowczanki, nic się dowiedzieć nie było można.

Nadzwyczaj go zaciekawiało, czy też on na swojem postawi, i — szlachcicem się wypromowuje. —

Łowczanka cierpliwie bardzo czekała na to, a była takiego żelaznego temperamentu kobieta, że choć wiele do przeniesienia miała, chodziła prawie wesoła i nie schudła ani postarzała. Koniuszy z podziwieniem uważał, iż utyła, zaokrągliła się i niby drugą młodością kwitła.

Jeszcze dotychczas puszczali się do niej konkurenci, wabieni posagiem, próbowali przypodobać się jeden wesołością, drugi elegancją, inni pańskiem występowaniem, nie czyniło to na niej wrażenia.

Czekała.

Wiedział i to pan Koniuszy, że rodzice nalegali co raz mocniej aby szła koniecznie zamąż, i o los swój ich uspokoiła. Od roku do roku odkładała, wypraszała się, aż na ostatek Łowczy jej powiedział.

— Już tego dosyć — nie chcesz ty mnie widzieć na marach, musisz w tym roku ślubować — komu chcesz, ale niechże raz temu koniec będzie. A właśnie rok ten upływał — nie wiele go zostawało, i dla tego musiał Jacek przyspieszyć swoją nobilitację.

Łowczy miał już napiętego męża dla córki, pana Podsędka Pokrzywnickiego, wdowca bezdzietnego, lat czterdziestu kilku, ale pięknego mężczyznę, rumianego, zdrowego i prezencji rzadkiej.

Podsędek mówił gładko, nie wyczerpanym był w anegdotkach i pogadankach, galant, człek i z wielkim światem nie bez stosunków — słowem przyjemny tak, że nieprzyjaciół nie miał. Kochali go wszyscy, gdzie się zjawił radowano mu się, tylko, prawdę rzekłszy, próżniak był kubek w kubek jak Łowczy. W marjasza zagrać, w warcaby, do kieliszka stanąć, mówkę powiedzieć zwaśnionych godzić, swatać,—wszędzie gdzie gębą było potrzeba posłużyć — jego rzecz była — a fałdów przysiedzieć i popracować nad czemś w cichości nie tylko że nie umiał, ale się to dla niego ze śmiercią równało.

Łowczanka, gdyby tylko konkurentem nie był, dosyć go lubiła. Za konkurenta znać go nie chcąc, gdy przyszedł się pośmiać, zabawić, wierszyki wydeklamować, słuchała go chętnie, ożywiała się w rozmowie i daleko nań była łaskawszą niż dla drugich.

To dawało panu Łowczemu otuchę, że na ostatek, gdy termin ostateczny nadejdzie, panna go z ręki jego przyjmie i będzie szczęśliwą.

Na rachunek tej nadziei Podsędek co raz to piękniejsze sobie żupaniki sprawiał, buty paradne, pasy świetne, i z pomocą zimnej wody twarz utrzymywał w młodzieńczym rumieńcu, a wąs do góry po kawalersku!

Gdy po cichu przy warcabach z sobą mówili o tem Podsędek z Łowczym, staruszek brał go za rękę i kończył:

— E! jakoś to będzie.

A Podsędek w ramię go całował śmiejąc się (bo zawsze się śmiał, nawet gdy nie było z czego) i powtarzał:

— Królu mój — (to było jego przysłowie) — jakoś to będzie, byleś nam zdrów był...

I grali w warcaby i opowiadali sobie trybunalskie historje stare.

Łowczanka czekała ciągle.

Jednego tedy wieczora, jak miała zwyczaj, wyszła na groblę za dwór do Krzyża, nie spodziewając się nic wcale, gdy nadjeżdżającą bryczkę zobaczyła.

Koniki były wcale pokaźne, uprząż skromna ale smakowna, nowy kilimek pokrywał siedzenie, a na kilimku średnich lat mężczyzna przystojny, wyprostowany ku dworowi poglądał.

Z dala już zobaczywszy pannę Barbarę, kazał koniom stanąć, skoczył, czapkę podniósł do góry i podbiegł ku niej z radością wielką. Panna też zarumieniwszy się stanęła, oczom swym prawie wierzyć niechcąc.

Był to Jacek Zadorski.

— Łowczanko dobrodziejko — zawołał z uniesieniem — oto nareście przybywam u nóg twoich składając dowód, że chłopem nie jestem — i że do twej ręki posunąć mi się godzi.

To mówiąc z za kontusza dobywał pudełko.

Łowczanka odetchnęła, zwycięzko zabłysnęły jej oczy.

— Niech będą Bogu dzięki — odezwała się — chodźmy do rodziców...

Podała mu rękę do pocałowania, Jacek drżał cały.

— A! czem ja wam za to się wywdzięczę — wołał — ośm lat tłukłem się jak Marek po piekle, harując, pracując, prosząc i modląc o ten klejnot szlachecki, którego zdobyć nie było można, aż teraz. Wy, moja dobra, święta panno Barbaro, mieliście litość i cierpliwość czekać na mnie. — O! czem wam wywdzięczę...

— Już to tam o tem potem — odparła wesoło Łowczanka, a powiem wam szczerze, że ten ostatni rok najcięższym był dla mnie. Rodzice nalegali strasznie i słuszność mieli. Gdyby jeszcze się przeciągnęło — nie poszłabym za mąż dla siebie, musiałabym dla nich!

Jacek popatrzał na nią.

— Rodzicom się też od nas wiele należy — przydała Łowczanka.

Wyrazy te głęboko utkwiły w nim, jak gdyby przez usta jej Pan Bóg mu jego obowiązek przypominał.

Więc pytania następywały jedne po drugich, a potem narady jak sobie miał postąpić Jacek z rodzicami, jak mówić z niemi. Posłuszny we wszystkiem godząc się na to co Łowczanka chciała, Jacek o jedno tylko prosił, aby już teraz wesela nie zwlekać.

Dnia tego, jak zwykle, Podsędek był w Wólce i Łowczego zabawiał, umówiono się tedy aby panna wróciła naprzód do dworu sama, a później Zadorski nadjechał i przypomniał się państwu Łowczym.

Gdy panna Barbara wracała co prędzej nazad, Jacek tym czasem chłopcu się kazał z pyłu otrzepać, około koni coś poprawić, zmarudził tak czasu kawał umyślnie i dopiero zmiarkowawszy, że panna już dawno zajść musiała, siadł na swą bryczkę, rozkazując zajeżdżać przed ganek.

Że uprząż i konie były nie znane, Podsędek z Łowczym przez okno otwarte z jadalni ciekawie wyjrzeli. Stary go nie poznał; Podsędek nigdy na oczy nie widział.

Choć mu serce biło mocno, przybrawpostawę — jak się dawniej wyrażano — bezpieczną, wszedł do jadalni Jacek wprost ku Łowczemu, który od blasku oczy sobie przysłoniwszy ciekawie się mu przypatrywał.

— Czołem panu Łowczemu dobrodziejowi, choć nie poznany a stary sługa jego, mam honor submitować się, Jacek Zadora Zadorski. —

Łowczy nie mógł powstrzymać wykrzyku.

— Pan Jezus przy dzieciędiu! A zkąd żeś się asindziej wziął, i kędyżeś przez te lata siedział, żeśmy już myśleli, iż cię na świecie nie ma!

— Nie tajno to panu Łowczemu — mówił Jacek śmiało — że mnie na ówczas gdym na dworze księżnej Jejmości przebywał, złe języki pomawiały jakobym sobie szlachecki klejnot uzorpował..

Tu westchnął.

— Nie mając naówczas dowodów,

musiałem w świat iść — mówił dalej Jacek — i szukać ich, a gdybym nie znalazł szlachectwa się dobijać, aby sromu nie cierpieć. Pan Bóg moim usiłowaniom poszczęścił. Nie chciałem się tu pokazywać, aż bym dokumentnie dowiódł szlachectwa mego. Dopiero więc teraz się stawię.

Podsędek, który stojąc za Łowczym, słuchał tej mowy z ustami otwartemi, zwietrzył co się w niej święciło i nosa spuścił. Czuł, że tu mu się gotowała odprawa.

Łowczy patrzał na przybyłego, głową kręcił, i nie mogąc nic innego znaleźć chwilowo do powiedzenia *ad hoc*, do jejmości na przeciwek prosił.

Wchodząc zastali tu Łowczynę, która bodaj czy przez córkę zawiadomioną nie była, i pannę Barbarę, zawsze chodzącą w czerni, po raz pierwszy w białej sukni i z kwiatem we włosach.

Miało to też swe znaczenie, a Podsędek po cichu rzekł sobie w duchu:

— *Oleum perdidi!* nie mam tu co popasać!

Witała Łowczyna bardzo czule przybyłego, a Barbara wesoło, ale nie okazując zbytniego poruszenia i ze skromnością wielką. Łowczy zakłopotany wielce z okazji Podsędka, jak okradziony szedł, nie śmiejąc i spojrzeć na niego.

Zaczęto wypytywać, gdzie przebywał pan Jacek, na co on ogólnie jakoś odpowiedział, że po kancellarjach pracował, ostatnio zaś u Ks. Podkanclerzego, któremu był wielce obowiązany.

Po wsiach, gdzie do starego porządku ludzie przywiązani byli i, mimo patrjotyzmu, nowym reformom nie bardzo byli radzi, Kołłątaj nie był w wielkiej estymie, zmilczano więc posłyszawszy o nim.

Podsędek zrobił minę jakby powiedzieć chciał:

— Oj! to ptasio!

Męzka połowa towarzystwa, Łowczy i Podsędek, oba frasobliwi, gdy Jacek z kobietami rozmawiać zaczął, dali sobie znak i wyszli.

Nie mówiąc słowa doszli tak do połowy izby jadalnej obok siebie w takt równy stukając. Tu podnieśli głowy, popatrzali się sobie w oczy i Podsędek wydał z głębin piersi szerokich westchnienie potężne.

Łowczy na to nie słowem ale ruchem rąk na piersi położonych, potem szeroko rozciągniętych, odpowiedział.

Stali milczący.

Z ruska tedy ozwał się Podsędek, bo miał zwyczaj niekiedy zarywać tym językiem:

— *Propau Sawka z dudami!*

Na co Łowczy, nie śmiejąc go dłużej uwodzić nadzieją próżną, szepnął:

— Wola Boża!

Chwilkę pomyślał — potem na ramieniu Podsędkowi rękę swą suchą położył, i dodał:

— *Ne żurysia!* Czekaj! Zobaczymy...

— A ba! co ja tu już dobrego zobaczę.

— Cze-kaj! powtórzył Łowczy. Skłonił się Podsędek, lecz zasępiony już najmniej nie okazywał nadziei, aby mógł się czego innego spodziewać jak cudzego wesela.

Zaczęto nakrywać do wieczerzy, a dwaj ichmość zagrali przy oknie w warcaby, nic do siebie nie mówiąc. Dopiero gdy Łowczy przegrał, począł szeptać:

— Ośm lat!Waż ty to sobie, przez lat ośm nie dawał o sobie najmniejszej wiadomości. Myślałem, że go gdzie wilcy zjedli. Żeby pisnął.

— Mój Łowczy dobrodzieju — przerwał Podsędek — jak Bóg żyw, panna o nim wiedzieć musiała, choć milczała. — Ho! ho! bez tego sentyment by nie strzymał!

— Przecie by coś transpirowało! dołożył ruszając ramionami. — No — Bóg ich wie!

Rozumie się, że konie p. Jacka wzięto do stajni i on na noc pozostał, a że dwu gościnnych pokojów nie było, postawiono ich razem z Podsędkiem.

Nie było to dla nich przyjemnem, ale Pokrzywnicki był człowiekiem wielkiej experjencji i przedziwnego taktu, tak iż do wszelkiego położenia nagiąć się i zastosować umiał. Gdy więc przyszli razem do izby, w której dla nich dwa tarczany stały gotowe, a nie było sposobu uniknięcia rozmowy, Podsędek począł *de publicis*.

Mając przed sobą pomocnika Podkanclerzego, nie wypadało mu okazywać się czem był, to jest zwolennikiem starego porządku — począł chwalić zacnych patrjotów, wątpiąc tylko czy ich stutysięczne wojsko i inne uchwały na papierze, dadzą się w życie wprowadzić.

Takie preludjum uczyniwszy nie z tego tonu z jakiego grać chciał, zwrócił się do — personaljów, i w zręcznym perjodzie wyraził delikatnie, iż mu nie było obcem to, że w p. Zadorskim szczęśliwego bodaj konkurenta Łowczanki oglądał.

Podziękował za grzeczność pan Jacek i zmilczał.

— Mogę panu winszować — dodał Podsędek — gdyż mając szczęście od niejakiego czasu często tu gościć, cnót i przymiotów panny Łowczanki napatrzeć się też miałem sposobność. Heroina to jest wielkich cnót i doskonałości!

Na tem wieczorna rozmowa dokończona została, a wkrótce potem Podsędek ległszy tak straszliwie chrapać zaczął i świstać przez sen, jakby wiedział, iż Jackowi spać się ani brało ani chciało.

Gdy muzyka ta ustała nad ranem, Zadorski dopiero usnął, a Podsędek przededniem obudzony do ogrodu z pacierzami poszedł.

Ranek był badzo piękny, ale dla biednego Pokrzywnickiego smutny. Odmawiając koronkę chodził i wzdychał, gdy w głębi ogrodu niespodzianie, ową heroinę wczorajszą spotkał z pękiem kwiatów w ręku.

A że człek był grzeczny, choć mu większa część niedokończonej koronki przepadła (bo ją w takim razie rozpoczynano na nowo) — powitał heroinę:

— Jakże panna Łowczanka ranna! — zawołał.

— Wzajem to sobie powiedzieć musimy — odparła panna Barbara.

Rzecz wielce osobliwa — spojrzawszy w oczy pannie, gdy się ją bardzo szczęśliwą widzieć spodziewał, znalazł w twarzy wyraz nadąsania i jakby wielkiej niecierpliwości, prawie gniewu.

— Że ja wstałem rano, to nie dziw, panno Łowczanko dobrodziejko — rzekł — na duszy mi dziś bardzo ciężko! Nie mam co taić! Przybycie tego szczęśliwego pana Jacka, dla mnie jest sygnałem, abym się rejterował! A kto długo żywił jaką taką nadzieję w sercu, temu wyrwanie jej, niezmierną sprawia boleść.

Gdy to mówił panna w kwiatki patrzała dziwnie, oczkami osłupiałemi i zaognionemi razem, usta jej się poruszały, listki obrywała i rzucała na ziemię.

— Zatem mi dziś żegnać przychodzi! — dodał.

— Czegoż się pan tak masz spieszyć! — zawołała Łowczanka. Czego? Nie spiesz się wać pan!

Ostatnie słowa wyrwały się jej jakby mimowolnie i uciekła.

Spojrzał na idącą, szła nie pewnym krokiem, poruszona jakby ją coś dotknęło boleśnie.

— Cóż to może być? Nie spiesz się! — powiedziała mi sama, co to może być?

Stanął Podsędek i dumał.

Uważał, że wczorajszego wieczora panna z kawalerem przy oknie prowadzili bardzo żywą rozmowę. Jacek nachyliwszy się coś jej powiedział, panna się rzuciła, żywo zamienili jeszcze słów kilkanaście, a potem nagle, jakby ich co rozpędziło, rozeszli się i Łowczanka znikła, a oni do snu już się, pożegnawszy, zabrali.

Ośm lat na siebie czekali? Cóż mogło zajść?

Podsędek uderzył się w głowę, pobiegł żywo do Łowczego, u którego już okna były otwarte...

— Co tam acana tak pędzi? — zapytał stary...

— Coś się stało! Łowczy, łaskawco, dobrodzieju! Coś się stało! Niepojęta rzecz. Wracam z ogrodu, spotkałem pannę Barbarę, czegoś poirytowaną mocno. Gdym chciał ją żegnać, bo dziś miałem odjechać, powiada mi, ale to z takim akcentem! Czego się asindziej masz spieszyć!

— Hm! to ma swe znaczenie!

Łowczy potrząsł głową.

— Czy ci się nie przydało?

— Klnę się na co mam najświętszego! Imaginatykiem nie jestem... Wczoraj wieczorem ci państwo... czegoś, ja nie wiem, popstrykali się.

— Nie może to być — zawołał Łowczy.

— Ale jest! przekonasz się! — zaklął się Podsedek.

— Ba! No to siedź — rzekł stary. A kto kiedy baby zrozumi, *faemina variabilis.*

Gdy się to działo w izbie pana Łowczego, Jacek się też obudził, przyodział co żywiej i z czołem namarszczonem wielce, wyjrzawszy oknem że ranek już późny, skoczył pędem do ogrodu.

Pobiegł od razu w sam koniec, przetrząsł uliczki wszystkie, szukać się zdał

kogoś, nie znalazł, w końcu na ławę pod lipą siadł i zadumał się. Wielkie szczęście na które lat ośm czekał, robiło teraz na nim wrażenie takie jakby go kto kamieniem w łeb uderzył. Twarz miał wykrzywioną, zmienioną, przelękłą.

Siedział długo, oglądał się, gdy w końcu dojrzał białej sukni. Łowczanka się zbliżała wolnym krokiem ku niemu. Wstał i poszedł też przeciw niej.

Nie było przywitania. Stanęli nieco opodal od siebie.

Panna w oczach łzy miała, ale i gniew razem.

— Cóżeś się pan namyślił? — zapytała głosem nieco dumnym patrząc mu w oczy.

— Tak jest, panno Łowczanko dobrodziejko, namyśliłem się.

— Cóż mi wać pan powiesz?

— To co i wczoraj — rzekł głosem, w którym boleść brzmiała Jacek. Podłym bym był gdybym się rodziców zapierał, i gdyby im chociaż w kościele na moim ślubie pokazać się nie było wolno...

— Upieracie się wać pan przy tem? — zapytała drżącym głosem panna.

— Stoję przy tem co mi sumienie i miłość przez Boga nakazana, dyktują — rzekł pan Jacek.

— A! tego już nadto! — krzyknęła gniewnie panna. Tego nadto! Jedź wać pan, zkądeś przybył! Adieu!

Kiwnęła mu głową i poszła.

Jackowi łzy stanęły w oczach, wyprostował się, zaciął zęby, i poszedł do dworu. Chłopca spotkał w sieni.

— Tłumok na bryczkę — rzekł i w dziesięć minut żeby mi konie były! Słyszysz! natychmiast!

Chłopak pobiegł jak oparzony. Jacek stał trochę, czapkę w ręku miął i skierował się ku pokojowi Łowczego. Twarz się starał wyjaśnić, co mu się nie udało.

Łowczy właśnie był na onej gawędce jeszcze przedłużającej się z Podsędkiem, gdy wszedł Jacek i zbliżył się ku niemu.

— Pan Łowczy mi daruje, że go tak rano inkomoduję — rzekł — wypadł mi interes nagły, muszę natychmiast jechać, a nie chciałem tego uczynić póki bym wać pana dobrodzieja nie pożegnał.

— Cóż to? cóż to? — przebąknął Łowczy zaciekawiony niezmiernie.

— Gwałtowna potrzeba — przebąknął kłaniając się Jacek i przychylając do ramienia starego. Do nóg pana się ścielę.

Podsędkowi się ukłoniwszy, i wyraźnie dalszej unikając rozmowy Jacek zawrócił się do drzwi i wyszedł.

Bryczki z końmi nie było jeszcze, wprost więc nakazawszy chłopcu jechać za sobą, pieszo groblą żywym krokiem posunął się Jacek i wkrótce go wierzby zakryły.

Panna Barbara w oknie siedziała i patrzała, nuż się zawróci, nuż choć obejrzy, nuż mu serce zmięknie. Nie dał znaku, poszedł... Bryczka pospiesznie za nim pognała, zahuczała, zaturkotała... i skończyło się wszystko... Marzenia życia całego, ośm lat oczekiwania... miłość wielka, wszystko się o dumne słówko rozbiło.

Łowczy w godzinę potem poszedł »penetrować« na zwiady.

Łowczynę zastał we łzach, ale milczącą, córkę w gniewie niezmiernym, że jej dla śmiechu serdecznego rękę przewiązywano. Co się stało o tem nie było sposobu dowiedzieć się, lecz widocznem było, iż z sobą po latach ośmiu zerwali.

Wrócił stary do Podsędka.

— Widzisz! panna miała rację gdy ci czekać i nie spieszyć kazała. Coś zaszło, ale to tajemnica, rozeszli się!

— Rozeszli! — krzyknął bijąc w dłonie Pokrzywnicki. Wielki Boże! rozeszli się!

Do obiadu panna Barbara nie wyszła wcale. Badana, matka odpowiedziała, iż nie wie nic, tylko jedno słyszała gdy Basieczka krzyczała ciągle powtarzając. A tego to już nadto!

— Coś jegomość przeskrobał — rzekł Łowczy — czekajmy, wyjaśni się.

Grali potem w warcaby czyniąc najdziksze przypuszczenia, a Łowczy kończył za każdą razą.

— Kto te baby zrozumie!

Podsędek już ani myślał odjeżdżać.

Panna Barbara pod wieczór się znacznie uspokoiła. Zdaje się, że miała jakąś nadzieję, iż kawaler rozmyśli się i albo przyjedzie lub przyśle z deprekacją.

Upłynął i ten dzień i drugi, nie przyszło nic, ani list. Ile razy na grobli zahuczało Łowczanka biegła do okna; a wróciwszy od niego zalewała się łzami.

Matce jednak nie powiedziała o co poszło i co ich poróżniło. Upłynęło tak dni pięć. Gdy ją zobaczył wychodzącą do sali Podsędek nastraszył się tak była zmienioną i prawie nagle zestarzałą. Słowa z niej dobyć było trudno, nie słyszała co do niej mówiono.

Gdy od stołu wstali, chociaż z nieśmiałością wielką, Podkrzywnicki ku pannie kołując zbliżać się zaczął. Nie unikała go.

— Dziś pannie Łowczance lepiej?

— Zupełnie mi dobrze — odparła głosem zmienionym.

— Ból głowy?

— Ustał...

Nie śmiał obcesowo się oświadczać Podsędek, choć Łowczy mu mówił, bij żelazo póki gorące.

Siedli u okna, naprzód ona, potem on wielce wdzięcznie układając grube nogi.

— Panna Łowczanka — odezwał się zebrawszy na wielkie męztwo — nie wiem czy sobie przypomina, iż była łaskawą, kazać mi czekać. Czy mogę śmieć?

Spojrzała nań panna, ale we wzroku był jeszcze taki gniew, że Pokrzywnicki zdrętwiał.

— Mów pan! — rzekła.

—A! czyż mówić mi potrzeba — z zapałem zawołał Podsędek rękę kładnąc na sercu — czyż mam mizernemi słowy malować sentyment jakim na wskróś dla panny Łowczanki przejęty jestem, a który od niej wygląda miłosierdzia.

— Rzeknij słowo — dodał aplikując dosyć niewłaściwie (zapał go nieco tłumaczył) słowa sakramentalne. Rzeknij słowo, a uszczęśliwisz sługę swojego!

— Nikogo ja uszczęśliwić nie mogę — odezwała się Łowczanka — bo sama nigdy szczęśliwą nie będę, ale, jeżeli wać pan chcesz starą pannę kwaśną mieć za żonę, oto masz rękę moją.

Stukot się zrobił w salce taki, że Łowczyna wpadła przestraszona. Podsędek rzucił się był z takim impetem na kolana przed panną, która ręki mu nie wyrywając płakała.

— Chryste panie! co się stało! — zawołała Łowczyna.

— Pani! jestem najszczęśliwszym z ludzi! — krzyknął rękę podnosząc Podsędek...

Szczęśliwość jednak tak go przygniotła, że gdyby mu, wchodząc w jego położenie Łowczyna ręki nie podała, z ziemi by się był nie mógł podźwignąć.

Później zaś okazało się, że na obu szczęśliwych kolanach, miał Podsędek sińce nawet po weselu.

I rodzice i panna i przyszły małżonek Łowczanki żądali wszyscy jednozgodnie, aby wesele to było o ile możności przyspieszone.

Na gwałt więc pojechał się ekwipować Podsędek, a w Wólce czyniono przygotowania do wesela jakich mało pamiętała okolica.

— Jedno dziecko mam — mówił Łowczy — nie chcę żałować dla niej. Niech znają ludzie co mnie skąpym nazywają! W bród będzie czego dusza zapragnie! W bród!

Raz dawszy słowo Łowczanka, chociaż przyszłemu mężowi nie okazywała żadnej czułości, nie dąsała się też na niego i nie dziwaczyła.

Z wielkiem męztwem, gdy nadszedł dzień ślubu, dała sobie przypiąć wianuszek, nie uroniwszy łzy padła do nóg rodzicom prosząc o błogosławieństwo... Przez drogę do Kodnia nie rzekła słowa, patrzała oczyma jasnemi przed się, a co drudzy mówili zdawała się nie słyszeć.

Ślub odbywał się przed cudownym obrazem. W orszaku licznym weszło wesele do kościoła, gdzie już mnóstwo ciekawych z miasteczka było zgromadzonych...

Głosem dobitnym i jasnym wymówiona odbiła się o sklepienie przysięga, zahuczały organy i w tryumfie szli państwo młodzi, mijając gęsto zbity tłum.

Panna Barbara, jakby ją co tknęło, nagle oczy podniosła. O trzy kroki od niej stał, Jacek Zadorski, czarno ubrany, blady ale z wyrazem wielkiego spokoju na męzkiej twarzy.

Oczy się ich spotkały z sobą, pani młoda zachwiała się i pierwsza je spuściła, potem z siłą jakąś, która jej przybyła nagle, poszła żywszym krokiem ku drzwiom kościelnym... (C. d. n.)

BEAUMARCHAIS W NIEMCZECH

(1774)

przez

PAWŁA STAPFER.

(Dokończenie).

Po tej zyskownej operaji którą Beaumarchais przeprowadził więcej szczęśliwie niż roztropnie, wkrótce nastąpiła jego uroczysta rehabilitacja. Nowem powodzeniem uwieńczone zostały jego usiłowania, i gdybym miał czas opowiedzieć wszystkie jego czyny i dzieje podczas wojny amerykańskiej, ujrzelibyśmy znowu tego bohatera intrygi, tego rycerza wszelkiego rodzaju przemysłu u szczytu szczęścia do czasu, gdy rewolucja francuska ten wielki a straszny przewrót, który po części był jego dziełem, pogrążyła go znowu w otchłań nędzy. Kiedy Beaumarchais pisał „Małżeństwo Figara“ był milionerem; posiadał w Paryżu znaczny nieruchomy majątek. Wielki ten właściciel nie miał z pewnością zamiaru podburzać społeczeństwa. Poweźmiemy dokładne wyobrażenie, jak on sam rozumiał doniosłość swoich zaczepek, jeżeli porównamy jego rolę z rolą błaznów na dawnych dworach, których zadaniem było bawić swego pana: korzystając z wolności języka, jaka im była dozwolona, bawiąc dawali mu przestrogi. Beaumarchais udając niewiniątko, chełpi się, że napisał tę zuchwałą komedję „jedynie w celu zabawienia króla i królowej Francji.“ Królowej to się podobało; lecz król nie bawił się tem wcale. „Małżeństwo Figara“ było jednym z kłopotów jego panowania, a jego postępowanie względem autora, niezdecydowane, niepewne, pełne uniesień, słabostek i żalu, pokazuje nam w małym zakresie wady które stanowiły tło jego charakteru i były przyczyną jego upadku. Litujemy się nad tym biednym Ludwikiem XVI widząc go w walce z człowiekiem tak upartym, który odzywał się do księżny de Bourbon: „Gdy sobie czego życzę, muszę koniecznie dopiąć swego. To moja jedyna myśl, wszystko co tylko robię do tego się odnosi. Jest to dla mnie tylko kwestją czasu; w końcu dopinam swego celu, i wtedy cieszę się z tego podwójnie; raz że zadosyć uczyniłem memu pragnieniu, powtóre, że przezwyciężyłem wszelkie trudności!“

„Małżeństwo Figara“ ukończone w 1778 r. było czytane i przyjęte w Théatre-Français w końcu 1781. Lecz w 1782 cenzura wzbroniła przedstawienia tej komedji. Ludwik XVI, naciskany prośbami o względność dla Beaumarchaisgo, chciał sam osądzić tę kwestję. Kazał sobie przynieść rękopism. Pani Campan przeczytała go królowi i królowej. Opowiada ona o tem w swoich „Pamiętnikach.“ Gdy zaczęła czytać monolog Figara, „w którym, pisze pani Campan, autor napada na urządzenia administracyjne, a w szczególności na więzienia stanu,“ król podniósł się z niecierpliwością: „To niegodziwie! — zawołał; — ta sztuka nie będzie nigdy graną. Trzebaby pierwej zburzyć Bastylję, inaczej przedstawienie tej sztuki byłoby niedorzeczną niekonsekwencją. Ten człowiek żartuje ze wszystkiego co winno być uszanowanem w rządzie. — Nie będą więc jej grali? zapytała królowa. — Nie, z największą pewnością.

Ale Beaumarchais poprzysiągł, że sztuka jego będzie przedstawioną. La Harpe utrzymuje, że Beaumarchais aby przedstawić *Figaro* na scenie więcej zużył dowcipu, aniżeli aby go napisać. To pewna iż tak zręcznie manewrował, że utwór jego stał się sławnym w Paryżu i w Europie, na długo przedtem nim go poznano. Nikt może nie posiadał tyle talentu do reklamy i szarlanterji co Beaumarchais, a to często potrzebniejsze jest do powodzenia niżeli prawdziwa zasługa.

Od czasu zakazu królewskiego Figaro miało pociąg zakazanego owocu. Autor wzbudził powoli ciekawość na dworze i w mieście przez zręcznie urządzane czytania sztuki „Beaumarchaisgo.“ Raz dobrze rozbudziwszy ciekawość, Beaumarchais umiał ją ciągle podniecać, drożąc się z odczytywaniem swego utworu. Trzeba go było prosić i błagać. Księżna de Lamballe, przyjaciółka królowej, używała wszelkich sposobów aby otrzymać tę łaskę. Wielki książę rosyjski musiał także błagać o nią, a Grimm służył za pośrednika. Czego człowiek nie dokaże umiejąc poruszyć sprężyny próżności kobiecej? Cesarzowa Katarzyna II ofiarowała Beaumarchaismu pozwolenie przedstawienia w Rosji sztuki dramatycznej, którą zakazano we Francji!

Tyle zręczności, tyle wytrwałości musiało doprowadzić do zamierzonego celu. W czerwcu 1783 roku, aktorowie z „Comédie francaise“ otrzymali rozkaz nauczenia się tej sztuki dla przedstawienia jej w Wersalu. Później zdecydowano, że będą ją grać w samym Paryżu. Przedstawienie miało się odbyć w piątek 13. czerwca. Tajemne pamiętniki ogłaszają to w następujących słowach: „Wszyscy wielcy panowie, książęta ministrowie, piękne kobiety, uprzedzone zostały biletami z wizerunkiem Figara, a autor pochlebia sobie, że królowa zaszczyci to przedstawienie swoją obecnością.“ Ale w piątek 13. czerwca, kiedy sześćset powozów — mówi La Harpe, toczyło się od rana ze wszystkich dzielnic Paryża, kiedy się miało zaczynać przedstawienie, nagle zakazał je nowy rozkaz Ludwik XVI. „Zakaz króla — pisze pani Campan — był jakby zamachem na wolność powszechną. Wszystkie zawiedzione nadzieje wywołały takie niezadowolenie ogólne, że w czasach, które wyprzedziły upadek tronu, nigdy słowa *ucisk* i *tyranja* nie były wymawiane tak gwałtownie i z taką namiętnością. Znudzony a może zaniepokojony tym wybuchem opinji, przerzucający się ciągle z jednego stronnictwa do drugiego, nieszczęśliwy Ludwik XVI cofnął wkrótce swój zakaz. W trzy miesiące potem „Małżeństwo Figara“ grane było w obecności dworu za pozwoleniem królewskiem, w wiejskim domu hrabiego de Vaudrenil w Gennevilliers. Utrzymywano nawet, że tylko lekka słabość przeszkodziła królowej być na tem przedstawieniu.

Ustępstwo, jakie król zrobił dla dworu, musiał zrobić i dla miasta. Pierwsze przedstawienie „Małżeństwa Figara“ miało miejsce 27. kwietnia 1784 roku. Sławniejszego nie znają w rocznikach teatru. Tylko przedstawienie Hernaniego możnaby z niem porównać; ale Hernani był bitwą, Figaro tryumfem; dramat Wiktora Hugo miał tylko doniosłość literacką, komedja Beaumarchaisgo zawierała w sobie rewolucję. Autor, aby utrzymać powodzenie sztuki, dokładał takich samych starań, jak gdy ją chciał wprowadzić na scenę. Podczas czwartego przedstawienia, rzucono na jego rozkaz z trzeciej loży parterowej kilkaset egzemplarzy epigramatu, który on sam przeciwko sobie ułożył. Cały parter zapełnił swymi znajomymi, powiedział im, że „tego dnia rozwinie się najgwałtowniejsza intryga przeciwko jego niewinnemu dziełu.“ Epigrammat poszarpany został przez widzów, tysiące głosów żądały wydania zuchwalca, który był jego autorem i jednomyślnie skazywały go na uwięzienie w Bicetre. Pięćdziesiąte przedstawienie miało swoją wyłączną reklamę i ogłoszenia: dochód z niego miał być całkowicie przeznaczony na zakłady dobroczynne, „les pauvres méres nourrices.“ Beaumarchais poddając ten pomysł aktorom z *Theatre-Français* i pisząc do nich o tem, zacytował w liście czterowiersz, który napisał dla niego, „jakiś młody człowiek, bardzo utalentowany a niedosyć znany w świecie literackim.“

Czyn, przyznaję, był bardzo filantropijny; ale nie trzeba mieć przewróconego rozumu czytaniem La Rochefoucaulda, ażeby w tem szczytnem na pozór poświęceniu, niedopatrzyć jedynie egoistycznego wyrachowania, i dzisiaj jeszcze widząc, jak niektóre osoby rozczulają się nad tą reklamą, nie mogę dość nadziwić się jak Beaumarchais mógł znać tak głęboko ludzką łatwowierność.

Jednakże Ludwik XVI który w swojem postępowaniu nie okazał nigdy ani stałości ani konsekwencji, żałował często, że dał na to pozwolenie. Powodzenie Figara sprawiało mu wiele przykrości; gniew jego wybuchł w końcu gwałtownie. Beaumarchais, drażniony ciągłymi napadami bezimiennymi, drukowanymi w Journal de Paris, wystosował do tego dziennika, 6. marca 1785 roku list, gdzie pisze:

„Czy sądzisz pan, że ja, który musiałem pokonywać lwy i tygrysy, aby wyprowadzić moją komedję na scenę, teraz po jej powodzeniu będę każdego rana jak jaka holenderska służąca wytrzepywać nocne owady.“

Hrabia Prowancji, przeciwnik Beaumarchaisgo, zaniósł skargę do króla brata na takie zuchwalstwo: podług niego, te słowa *lwy* i *tygrysy* oznaczały *widocznie* króla i królowę. Ludwik XVI siedział przy stoliku i grał w karty; nie wstając napisał ołówkiem na siódemce pik rozkaz, aby aresztować natychmiast Beaumarchaisgo i zamknąć w Saint-Lazare, więzienie śmieszne i hańbiące, gdzie zamykano młodych ludzi zepsutych obyczajów. Autor „Małżeństwa Figara“ był tam przez pięć dni trzymany. Wiadomość o tem szczególnem uwięzieniu wywołała z początku śmiech powszechny; ale później oburzano się na to. Każden czuł się zagrożony, nietylko w swej wolności, ale i w postępowaniu. „Każdy pyta się siebie — pisze jeden z ówczesnych nowelistów — czy może być pewny, że noc prześpi spokojnie.“ Słabego charakteru król nie dał długo czekać na wynagrodzenie, które podobnie jak obraza nie miało granic. Zaraz po wypuszczeniu na wolność popularnego pisarza odbyło się świetne przedstawienie „Małżenstwa Figara;“ cały dwór, wszyscy ministrowie byli na niem obecni, i musieli słuchać jak z frenetycznemi oklaskami przyjmowano następujący ustęp z wielkiego monologu: „Nie mogąc poniżyć umysłu, mszczą się na nim źle się z nim obchodząc... Dlatego że jesteś wielkim panem, myślisz, ze jesteś wielkim geniuszem. Szlachectwo, majątek, stanowisko, urzędy wszystko to czyni cię tak dumnym! Czemżeś jednak zasłużył sobie na to? Raczyłeś się pan urodzić... gdy ja tymczasem! Zgubiony, w tłumie, żeby istnieć tylko, więcej musiałem okazać

nauki i wyrachowania, niżeli ci, którzy od stu lat rządzą całą Hiszpanią; i ty ze mną chcesz walczyć... To jeszcze nie wszystko. W jakiś czas po tem, towarzystwo *du petit Trianon* dało w Wersalu przedstawienie Cyrulika Sewilskiego. Królowa grała rolę Rozyny a hrabia d'Artois rolę Figara. Beaumarchais był zaproszony. Przyjęto go bardzo uprzejmie, obsypywano grzecznościami i pochlebstwami; zaproszono nawet na obiad dworski. Sztuka, „prawdziwie po królewsku źle grana" — jak się wyraża pani de Campan, miała wielkie powodzenie, jakiego się z góry już mogła spodziewać. Marja Antonina miała szczególne upodobanie w tego rodzaju rozrywkach. Matka ganiła jej to surowo. Opowiadają, że otrzymawszy raz portret córki, Marja Teresa zawołała z goryczą: „Zamiast portretu królowej Francji, odebrałam portret aktorki!"

III.

„Chciałbym zakończyć — mówił Figaro układając pewną piosnkę— czem pięknem, świetnem, wzniosłem i coby zdawało się zawierać w sobie jakąś myśl głęboką." Nie sięgam tak wysoko, ale chciałbym przynajmniej wyjaśnić wskazówki historyczne, jakie w braku innego sensu moralnego, wydobywają się z faktów, które tylko co opowiedziałem.

Co za lekkomyślność na dworze Ludwika XVI.! Beaumarchais wydaje pamiętniki, w których urzędy francuskie są wyśmiane i poniżone, parlament przedstawiony jest jako zbiór oszustów, gdzie człowiek uczciwy, gdy ma tam jaką sprawę do załatwienia, sam musi zostać oszustem aby się nie dać oszukać: król francuski bawi się i śmieje z tych łotrostw, a jego metresa pozwala grywać u siebie przysłowia dramatyczne złożone ze scen najdrażliwszych skandalicznego pamfletu!

Co za słabość w rządach Ludwika XVI.! Pan Figaro, pogrążony w długach i ogołocony z pieniędzy, ale gotów na wszystko i zdolny do wszystkiego, przekonany że skromny dochód z brzytwy, lepszy jest niż próżna sława literacka, w chwili wzniosłego zuchwalstwa, zabiera swoje skromne przyrządy do golenia, swój worek z rzeczami i z największym pośpiechem, przejeżdża Anglję, Holandję, Niemcy i Austrję. Czego on tam brzytwą myśli dokazać, ten intrygancki geniusz? Umiał sobie wyrobić u króla polecenie sekretne, aby zatrzymać wydawnictwo pamfletu, o który ani król ani nikt inny się nie troszczy pamfletu, którego treść jemu tylko jest znana. Jedynie z pomocą brzytwy, nasz cyrulik zmieniony w bohatera, każe płacić sobie dziesięć tysięcy liwrów Austrji i 72.000 Francji za zniszczenie tego szpargału, który nie wart był 6 groszy. Zawiadomiony o niewierności swego agenta, rząd francuski zamyka na wszystko oczy, udając że nie widzi, jak bezczelnie zażartowano z niego i Figaro wraca do Paryża, aby dalej prowadzić swój zawód; powraca, nie ukarany ale tryumfujący. Goli brody Amerykanom i zarabia szalone summy. Wkrótce czuje się dosyć potężnym, aby stanąć do walki z królem. Wprowadza na scenę swoją własną osobę, daje jej piękną rolę i uosabia w niej lud prosty w chwili, w której staje się wszechwładnym. On sam, człowiek z tłumu, parweniusz, wyśmiewa się ze szlachectwa, walczy z potęgami, a jego spokojne zuchwalstwo oznajmia że zbliża się czas, gdzie pierwsi będą ostatnimi, ostatni pierwszymi. Ludwik XVI widzi niebezpieczeństwo i przestrasza się; ale biedny monarcha nie ma siły aby zmierzyć się z przeciwnikiem; wzrok jego jest zamglony, traci głowę, nie wie sam co czyni. Dzisiaj zamyka nieprzyjaciela w więzieniu Saint Lazare; jutro zaprasza go na obiad do *petit Trianon* i pokazuje mu w kostjumie Rozyny, dziecko, które wziął za żonę, królowę Francji, córkę cesarzowej Marji Teresy, Marję Antoninę, która lubi tego pana Figaro, uważa go jako bardzo poczciwego człowieka, bo on swemi komedjami rozpędza nudy, które ją przygniatają. Rząd, któremu do tego stopnia brak powagi, stałości i logiki, jest widocznie bardzo słaby; biografia Beaumarchaisgo, pokazując nam objawy tego upadku władzy królewskiej, zyskuje przez to na ważności i staje się jakby wstępem do historji rewolucji.

KONIEC.

ZE STAREJ TEKI.

Z gór szczytu myślą biegnę w pola moje,
Po mórz bezbrzeżu popłynął mój wzrok,
Rąk widzę do mnie wyciągniętych dwoje,
I smutny, czarny mnie ogarnia mrok.

Między rąk moich i tych dwóch uściskiem
O Panie, czemu, czemu przepaść mórz!
Po co mnie dręczysz tych dwóch rąk zjawiskiem?
Pierś co drży do nich, przez litość Ty zburz!

Wiem, coś rozdzielił — wiecznie rozdzielone;
Na wiek związane, co Ty zwiążesz — wiem!
Lecz tak rozdarte, chociaż tak sprzężone
Przez Ciebie Panie, czem są dusze, czem?

Igraszką marną? — nie! Ty jesteś Bogiem;
Zguby ich pragniesz? nie! Tyś łaski zdrój;
Rozwiąż zagadkę przed wieczności progiem!
Światła! bez niego to za ciężki bój.

Na Libanie.

Karol Brzozowski.

LISTY Z CZECH.

W czerwcu 1880 r.

V.

Obiecaliśmy czytelnikom naszym wspomnieć o czeskiem czasopiśmie „Naród sobie," a cieszy nas, że możemy to już w tym tu liście uczynić. Pismo to wydano przez pragską „Umeleckau Besedou," a jak wiadomo jest ono, jak dobrze nasz krytyk i znany feljetonista, Jan Neruda, mówi: *obrazem siły czeskiej*; choć nie *całej* siły czeskiej. O, nie! Jeszcze trzy takie pisma możnaby napełnić mozaiką przyczynków naszych znakomitych autorów.

Pismo nasze pamiątkowe wydano w takim samym czasie, jak "Paris Murcie." Trzy tygodnie wystarczyło do przygotowania materjału a 16. maja wydano już „Naród sobie". Francuscy referenci donoszą wprawdzie, że wydawnictwo nasze jest słabe. Jednakże jest to praca *czeska*, przez Czechów zebrana. Starannie wykonana karta tytułowa Sobiesława Pinkasa przedstawia nam czeski teatr. Na wyróżnienie zasługują „Złoty wiek," Fr. Żeniszka jako też prace: A. Chillasi, Wacława Brożika, Jul. Maraka, J. N. Myślbecka, A. K. Liebschera, A. Barviliusa, V. Hynaisa, Liszki, J. Ziteka, V. Lhoty, H. Ullika, M. Alesa, B. Wachsmanna, J. Mokra i. w. in.

Z części literackiej wymieniamy wstępny wiersz, odnoszący się do obrazu na karcie tytułowej, Adolfa Hejduka, dalej powiastkę p. Karoliny Swietli „Na zdar dustojneho" potem dział teatralny J. Arbesa, w końcu ogólny dział poetycki Heritesa i pracę A. Firaska.

Z poetów naszych podali wiersze wszyscy najcelniejsi. Powstały w ten sposób „Różne myśli" i „Rój epigramatów" rozmaitych czeskich autorów. Mieszczą się tam także autografy i podpisy mężów historycznych jak: Husa, Żyski, Podiebrada, Rudolfa, itd. Oprócz tego są tam autografy zmarłych dramaturgów czeskich, jak dr. Sladkowskiego, niedawno zmarłego, a bardzo zasłużonego w sprawie teatru narodowego, i autografy kompozytorów, między którymi widzimy ośmiotaktową drobnostkę z f-moll na fortepian mistrza Smetany. Widzimy tam także przyczynki Fibicha, Bendla, Rozkosznego, czeskiego ulubieńca A. Swarzaka, K. Sebara, zmarłego Blodka itd. Jest tam także podobizna afiszu teatralnego pierwszego przedstawienia „Dratenika" z r. 1826. „Naród sobie" będzie zaiste miłą na przyszłość pamiątką, gdy dla Czecha inne, lepsze nastaną czasy.

Stowarzyszenie polskie w Pradze, o którego założeniu pisaliśmy już w dawniejszych listach rośnie i wzmacnia się z dnia na dzień. Dziś donoszę wam z radością, że zgromadzenie to obchodziło 11. maja br. śmierć ziomka swego znakomitego wirtuoza, Henryka Wieniawskiego, w sali „Umelecké besedy" z wielką godnością. W sali ubranej w kwiaty i zielone gałęzie, odczytywał zamiast prezesa towarzystwa, pan inżynier Mużyka życiorys Wieniawskiego.

Następnie zagrał mazurka Wieniawskiego nasz młody artysta, p. Sobotka. Pani Bilych kilka polskich i czeskich piosnek, p. Kowazowicz odtworzył kompozycję Wieniawskiego na fortepian, a p. Towarnicki deklamował z ogniem i zapałem wiersz Ant. Lambora, opiewający braterstwo czesko-polskie.

— „Divadelne listy," redagowane przez dr. Lad. Howorka, drukowały rozprawę pt. „Bronisław Grabowski i jego słowiańskie dramata," napisane przez samego redaktora. Jeden dramat tego autora „Królewicz Marko" przełożył Howorka na język czeski; przedstawią go w teatrze, w Pradze. O powodzeniu tego dramatu na scenie, napiszę w przyszłym liście. Oprócz tego tłómaczy profesor F. A. Hora: Powieści ukraińskie" Stanisław Gradzińskiego, N. Bardoua Kraszewskiego „Żeligę," F. U. Caslavsky przełożył fraszkę H. Koźmiana „Kuzynka bez Posagu," „Słomianą wdowę," Kraszewskiego i wiersz „Dzwonek" Lenartowicza. Lad. Adriello i L. G. Norps przekładają Paulina Stachurskiego „Opowieści stepowe."

Ar. Seh. Polabsky.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

Stanisław, zaniepokojony dramatyczną akcją swego szefa, osłupiał na te słowa. Nie mógł ich wprawdzie brać na serjo, bo nie miały najmniejszego związku z jakiemikolwiek wiadomemi mu faktami — lecz z drugiej strony, dr. Mitręga należał do ludzi, którzy nietylko sami nigdy nie żartują, ale biorą nawet każdemu za złe, jeżeli zstępuje z koturnu tragicznego, na którym powinien przepędzać swój żywot, i dopuszcza się najlżejszego żartu. Domyślał się tedy niewinny młodzieniec, że zapewne coś zaszło bez jego wiedzy — prawdopodobnie jakieś *qui pro quo* w rodzaju owej czerwonej listy członków komitetu, która w gruncie była kopią zielonej...

— Strzelać się? — powtórzył machinalnie — a o cóż, na Boga, ja mógłbym strzelać się z panem?

— Masz pan rację — zawołał doktor-redaktor w patetycznej ekstazie — masz pan rację! Ja nie mogę, mnie nie wolno strzelać do pana! Ale pan, pan, panie Stanisławie, musisz mnie zastrzelić! Albo raczej — tu zerwał się z krzesła i począł biegać po pokoju, szukając drzwi — ja... ja szalony! Ja sam powinienem sobie odebrać życie! Puść mię pan... puść... broni, broni!

Wołając to rozpaczliwym głosem, dr. Mitręga dobywał się przemocą do drzwiczek od szafki, w której *in usum* współpracowników *Orędowniczki* przechowywano stary »Skorowidz« pocztowy, kalendarz i siódmy tom Encyklopedji, obejmujący w 12tu cały obszar wiedzy ludzkiej, i w której oprócz tego przezorność pana Kosturskiego lokowała zazwyczaj buteleczkę jakiegoś kordjału, korkociąg, kieliszek bez nóżki i parę kawałków suchej skórki z chleba.

— Puść mię pan, puść!

Stanisław domyślił się nakoniec, że wypada trzymać pana doktora, chwycił go więc w pół, jak gdyby on w istocie wyrywał się z pokoju, i począł go błagać, ażeby się uspokoił i powiedział przynajmniej, o co chodzi. Dało to doktorowi Mitrędze sposobność do dalszego szamotania się i do wykrzykników coraz straszniejszych i coraz mniej zrozumiałych, aż w końcu, z rozczochranym włosem, z potem kroplistym na czole i z gorączką w twarzy, stał się w istocie podobniejszym do człowieka szalonego, niż do wydawcy i naczelnego redaktora codziennego pisma i jeneralnego dyrektora Banku Filodemicznego. W tem stadjum oczywiście osłabł, opuścił się na krzesło w postawie do szczętu złamanej, i jęknął:

— Ja ją kocham!

— Kogo?

— Ją, ją, dla której żyłem i umieram, dla której wszystko poświęcam!

— Ojczyznę?

Naiwna ta interpelacja skonfundowała nieco szanownego doktora, ale nie wypadł z roli.

— Ojczyznę! O, tak — zawołał — *ona* zastąpiłaby mi ojczyznę, *ona!* Ale bez niej...

— Bez panny... Tu Stanisław miał już na ustach nazwisko: Gozdawickiej.

— Bez niej, bez mojej Natalji!

— Pan... pan... kochasz się w Natalji?! — wybełkotał Wołodecki, na pół przejęty przekonaniem, że go trapi jakiś sen niemożliwy i niepodobny do prawdy.

— Czy się w niej kocham! Mówiłem panu, że dla nas dwóch nie masz miejsca na tym świecie; a raczej niemasz go dla mnie, nieszczęśliwego! Czy ja ją kocham, o nieba?!

Tu nastąpiło drugie, poprawne wydanie poprzedniego szamotania się i uspokajania, i przyszło do tego, że Stanisław łkającego i wyrywającego mu się z objęć naczelnika swego tulił, hołubił i całował jak rozgrymaszone dziecko. Na chwilę uspokoił się dr. Mitręga i patrząc znowu żałośnie w oczy Wołodeckiemu, mówił smętnie i z naciskiem:

— Wiem, że masz pan szlachetne serce. Kochałem pana, zdaje mi się, jak brata. I niestety, obok wielkiego mojego żalu ten jeszcze z sobą zaniosę do grobu, ze właśnie *pan* musiałeś mi stanąć w drodze.

— Ja... w drodze?

— Nie mam panu tego za złe, panie Stanisławie. Pojmuję, że jako młody człowiek bez majątku musiałeś pan oglądać się za posagiem, nie wielkim wprawdzie, ale który przy skromnych pańskich wymaganiach wystarczy wam obojgu na życie. Nie potępiam bezwzględnie ludzi, o których świat mówi, że żyją kosztem żony, chociaż sam nie oświadczyłbym się nigdy o rękę osoby, którąby posiadała więcej odemnie. (Dodać tu należy nawiasem, że stosunki majątkowe dr. Mitręgi były dla Stanisława ciągle jeszcze mitem, po za którego zasłoną ukrywać się mogły miliony). Ale — rzekł dalej doktór — nie mówmy o tem, bo wszystko skończone. Masz pan słowo Kluszczyńskiego, którego on nie cofnie, nawet dla szczęścia jedynej córki!

Stanisław kilka razy chciał przerywać mówiącemu, ale nie pozwoliła mu wykonać tego zamiaru powaga smutku i rozpaczy połączona z powagą niezmiernej wyższości moralnej i socjalnej, jaką dr. Mitręga umiał wlać w swoje słowa. Na cóżby się zresztą przydało było zaprzeczać, by posag panny Natalji grał jakąkolwiek rolę w jego stosunku do niej? Bóg jeden mógł wiedzieć, jak mało mu zależało na tych pieniądzach, jak mu one raczej ciężyły na sercu i jak mocno pragnął, żeby się bez nich Natalja obejść mogła i chciała. Zrzekł się tedy wszelkiej dyskusji z dr. Mitręgą w tej mierze i odpowiedział tylko na ostatnie jego zdanie.

— Dla szczęścia córki? Wszak szczęście córki... szczęście Natalji, zawisło od jej wyboru, a ten wybór, mam prawo powiedzieć to dziś głośno i śmiało — dobrowolnie i bez przyczynienia się ojca padł na mnie.

— Wybór! — zaczął dr. Mitręga, i chciał ponoś powiedzieć dalej, że panna Natalja wówczas, gdy przyrzekła Stanisławowi swoją rękę, nie miała żadnego wyboru do zrobienia. Namyślił się atoli, że to mogłoby dotknąć Wołodeckiego, i dał pokój temu przedmiotowi. Panie Stanisławie — rzekł kładąc dłoń na jego ręce – Natalja pana nie kocha. Powiem panu więcej: Natalja kocha *mnie*, a nie pana.

— To fałsz, fałsz wierutny — krzyknął mój bohater, po raz pierwszy od pierwszego rozdziału tej powieści przybierając minę bohaterską. Panie doktorze — mówił dalej stanowczo i z naciskiem — winien panu jestem wdzięczność dozgonną, i nie uchybię jej nigdy, ale nie powinieneś pan korzystać ze swego stanowiska i mówić mi...

Łzy zakręciły mu się w oczach i musiał przestać, ażeby się nie rozszlochać jak histeryczna panna; widać wszakże było, że tłumił łkanie w piersiach. Było wiele gorżkich wyrzutów w niemej grze jego twarzy, ale nie trafiały one do serca dr. Mitrędze, który w tej chwili zastanawiał się w duszy, czy dobrze będzie wystąpić z dowodem niezbitym, jakim był bilet Natalji, lub czyli może przeciwnie bilet ten nie przekona Stanisława, jak silną jest jego pozycja, przynajmniej wobec p. Kluszczyńskiego. Po niejakiem wahaniu się, dr. Mitręga wyjął wreszcie z pugilaresu fatalną kartkę i podał ją Wołodeckiemu z zapytaniem:

— Czy znasz pan to pismo?

Czy je znał! Ileż razy pożerał oczyma, przyciskał do ust, najmniejsze słówko, tą ręką skreślone! Równie niepotrzebnie pytałby kto skąpca, czy zna połysk i brzęk złota, które chowa w skarbonie. Stanisław znał, znał niestety to pismo, i tem straszniej, nieodwołalniej, nielitościwiej uderzyły go wyrazy, które przeczytał. Nie zdołam opisać, jak się zachował w tej chwili, jakkolwiek bowiem zdarzało mi się nieraz w życiu być świadkiem wielkiej, cudzej boleści, to jakoś nigdy nie przyszło mi na myśl, jaką ona przybierała pozę, jak zaciskała dłonie, jak jej drgały usta, jak jej oczy pozbawione były łez, być może, że nie studjowałem tego, bo czułem wraz z bolejącym część jego cierpienia. Studjowałem natomiast rozpacze takie, w jakiej np. przed chwilą widzieliśmy dr. Mitręgę, i wiem tyle, że te ostatnie były nierównie rozpaczliwszemi i gwałtowniejszemi od tamtych. To też dr. Mitręga nie potrzebował biegać po pokoju za Stanisławem i prosić go, ażeby się uspokoił. Zdawało mu się nawet z początku, że ten przyjął dość obojętnie cios, który go dotknął. Szanowny doktor uważał to za zachętę do dalszej rozmowy, i zapytał, co teraz sądzi o całej sprawie, ale Stanisław nie słyszał go wcale. Długo, długo siedział i milczał, trzymając w ręku złowrogi dokument, niszczący cały gmach pięknych złudzeń, radośnych nadziei i zawodnych pewności. Dr. Mitręga zrozumiał, że dzieje się coś niezwykłego w umyśle jego przeciwnika,

i zamilkł także. Po niejakim czasie, Wołodecki wstał, wziął kapelusz, i wyszedł, nie pożegnawszy się z nim i nie zwróciwszy mu biletu Natalji.

— A to byłoby... dobrem — pomyślał p. doktor — gdyby ten pedagog teraz wziął mię za słowo i wyzwał mię na prawdę. Mógłbym mu wprawdzie zarzucić że nie jest szlachcicem, ale kto wie, może ma dokumenta... Przyznanoby mu słuszność, a toby mi wcale nie było na rękę. No, ale ostatecznie można to jakoś ułożyć... na pałasze np. i do pierwszej krwi...

Tymczasem, nic podobnego do krwawych i śmiercionośnych zamiarów tego rodzaju nie postało w myśli Stanisława. Zdawało mu się wprawdzie, że otrzymał raz śmiertelny, ale nie winił nikogo, prócz własnej ślepoty i zarozumiałości. Opowiadanie Śmiechowskiego żywo stanęło mu przed oczami. Ani już wątpił, że Natalja przyjmując jego miłość, chciała się poświęcić dla ocalenia ojca od hańby, na jakąby go narazić mogło wyjawienie owej dawnej i zapomnianej już sprawy. Kochał ją dotychczas, a obecnie ubóstwiał, poniżając siebie w własnej opinji jako niegodziwca, wyzyskującego tak drażliwe położenie. Uczciwość i honor wskazywały mu zbyt jasno, jak sobie miał postąpić, nie chciał atoli okazać najmniejszej porywczości, najmniejszego pośpiechu lub rozgoryczenia, a może zresztą gdzie w zakątku serca jego kryła się i nadzieja, że zaszło jakieś olbrzymie, trudne do uwierzenia nieporozumienie, dość, że postanowił widzieć się z Natalją, jakkolwiek nie miał wyobrażenia, jak wybrnie z tego zadania, jeżeli ona potwierdzi to, co napisała do Mitręgi.

Chciała wychodzić z pokoju, gdy się pojawił, musiał ją prosić, ażeby się chwilkę zatrzymała. Spojrzała na niego zdziwiona niezwykłym jego tonem, a w połowie uradowana, że zanosi się na jakieś wyjaśnienia, które mogą sprowadzić upragnioną wcale katastrofę.

— Czy to prawda, czy to żart... nielitościwy? — rzekł, podając jej własną jej kartkę.

Zarumieniła się mocno. Stanisław nie mógł wprawdzie powołać się na żadne nadzwyczajne objawy czułości i miłości z jej strony, ale zawsze była tam pewna suma drobnych symptomatów, przechodzących miarę tego, co Anglicy nazywają *flirtation*, i nie wydarzających się zwykle tam, gdzie panna zostaje *tête-à-tête* z narzuconym jej wbrew jej woli narzeczonym. Swiatu można powiedzieć z Ely'm: »Między nami nic nie było», i nie minąć się zbyt mocno z prawdą, ale w cztery oczy przypomina się niejedno, coby się nie dało np. sformułować w zeznaniu sądowem, póki nie jest amplifikowanem ustami łaskawych sąsiadek i przyjaciółek, tj. póki z muchy nie zrobią słonia. W tej sytuacji wszakże, o jakiej mówię, i mucha była bardzo ambarasująca; dlatego też panna Natalja zarumieniła się i nie mogła znaleść odpowiedzi.

— Z milczenia pani — mówił Stanisław, z trudnością chwytając oddech piersiami — widzę, że omal nie narzuciłem się jej przemocą, sam nie wiedząc o tem. Boli mnie to jedno, że pani miałaś gorsze wyobrażenie o moim charakterze, niż na to zasługiwałem. Gdybym był na chwilę przypuszczał, że mnie pani nie... nie życzysz sobie...

— Do czegoż prowadzą te wszystkie wyrzuty? — przerwała mu, usiłując koniecznie uzyskać jaką taką przewagę, ażeby módz przybrać postawę uciemiężonej ofiary.

— Masz pani słuszność; nie zostaje mi nic, jak tylko oddać ten pierścionek...

Podał go jej, wzięła go w milczeniu, zdjęła z palca jego obrączkę z brylantem, i zwróciła mu ją w milczeniu. Po raz ostatni ich ręce spotkały się przy tej sposobności, tylko jego ręka drżała tak, że zaledwie zdołał ująć w nią złoty zakład miłości i wierności, a jej palce były zimne jak lód, i nie drżały wcale.

— I... panno Nataljo — dodał biorąc za klamkę — niechaj mi pani wierzy, że z całego serca, z całej duszy, życzę pani szczęścia, i jemu...

Rozpłakał się i uciekł. Panna Kluszczyńska opuściła na ziemię swój pierścionek z ametystem i zawołała:

— Panie Stanisławie!

Zapewne chciała go zatrzymać i tłumaczyć mu coś, co nie znosiło tłumaczenia, ale uciekł i nie wrócił. Jednocześnie wbiegła pani Magdalena z drugiego pokoju i wybiegła aż na ganek, wołając: Panie Wołodecki! Ale nie wrócił.

* * *

— Jesteś pan najszlachetniejszym z ludzi — mówił nazajutrz o podobnej porze dr. Mitręga do Stanisława. — Nigdy sobie nie daruję tego, że mogłem przypuszczać, jakobyś pan pragnął posagu Natalji! I czy w istocie Kluszczyński był u pana, nie dowierzając zwrotowi pierścionków, i nalegał, ażeby wasz związek przyszedł do skutku?

— Tak jest.

— Więc, mówiąc słowami pospolitego gminu, który nie zna nic, prócz podłej mamony, wyrzuciłeś pan za okno piędziesiąt tysięcy.

— Nie wyrzuciłem ani grosza, któryby kiedy mógł był być obróconym na mój użytek, gdyby nawet... rzeczy inny obrót były wzięły.

— Prawdziwy starej daty Rzymianin z pana. Więc byłbyś pan żył ze swego małego kapitaliku?

— I z mojej nieudolnej pracy.

— A, zapewne, i z pracy! Ale, *à propos*, powiedz mi pan, dlaczego pan trzymasz ten swój kapitalik w obligacjach rządowych, które tak mało niosą procentu?

— Połowa jego jest własnością mojej matki, która ma tym sposobem jedyny fundusz zapewniony. Obligi rządowe dają zawsze największe bezpieczeństwo.

— Tak, ale druga połowa? Ot, wolałbyś pan kupić nasze obligi filodemiczne, które teraz wprawdzie jeszcze nie mają kursu, ale niebawem pójdą niezmiernia w górę na wszystkich giełdach, bo damy 6% superdywidendy. Ba, ale to mi przypomina, jakie ja kolosalne głupstwo zrobiłem przedwczoraj, nie spodziewając się, że będę mógł tak prędko potrzebywać gotówki. Miałem pod ręką około 10,000 idealników, i dla przykładu i zachęty, umieściłem je w obligach Banku Filodemicznego. Tymczasem, wiesz pan najlepiej co się stało, dzięki pańskiej bezinteresowności...

Tu dr. Mitręga po raz dziesiąty od początku tej rozmowy uścisnął dłoń swego, jak go nazywał, przyjaciela, brata, i przysiągł, że do grobowej deski nie zapomni przysługi, ofiary raczej, jaką poniósł dla niego.

— Otóż ciągnął rzecz dalej—sytuacja zmieniła się, potrzebuję urządzić się, wyekwipować, a te nasze kochane obligi zaledwie za sześć miesięcy będą mogły pokazać się na giełdzie, i żaden bank tymczasem nie chce ich lombardować. Zachodzę w głowę, co począć, żeby nie robić długów. Możebyś pan kupił odemnie moje Filodemy — albo raczej nie, nie sprzedam ich teraz — ale możebyś pan je wziął w... lombard i wygodził mi swojemi papierami? Dziwna to trochę propozycja, przyznaję, ale procent tu i tu będziesz pan miał zapewniony.

- Ależ, proszę pana, mam do mojej, a tem samem, do pańskiej dyspozycji 5000 nominalnych idealników, co wynosi nieco nad 4000 rzeczywistych. Temi mogę służyć bez żadnego lombardu...

Stanisław byłby może zaproponował swemu dobrodziejowi pożyczenie całego funduszu, który miał w ręku, ale od pewnego czasu wypłata miesięcznych honorarjów w kasie *Orędowniczki* weszła była na tory mniej regularne od zmian księżyca, i że wskutek tego nie będzie mógł posyłać matce punktualnie drobnej kwoty, po nad którą nigdy nic od niego przyjąć nie chciała. Dr. Mitrędze zaś niezmiernie było na rękę, że uczynny przyjaciel nie chciał przyjąć w zastaw obligów filodemicznych, były to bowiem obligi, na których stało wyraźnie, że Bank Filodemiczny, mając sumę 10.000 id. ubezpieczoną hipotecznie na dobrach Wielkie i Małe Znikło, Niebywałach, i Wulce Niebywalskiej, własności JW. Emanuela barona Mitręgi, zapewnia niniejszem wypłatę odpowiedniej części tej sumy każdemu nabywcy takiego obligu. Nie było zaś w interesie szanownego doktora, ażeby w Wilkowie dowiedziano się o takiem obciążeniu jego dziedzicznego klucza, zważywszy, iż mogła wyjść na jaw, że pierwsze operacje Banku Filodemicznego były nieco ryzykowne natury — a to ze względu na katastralny opis Wielkiego i Małego Zniklego *cum att:* który już nawet i łaskawemu czytelnikowi niniejszego opowiadania jest poniekąd znany. Odkładam wszakże finansową tę kwesję na później, i stwierdzam jedynie, że dr. Mitręga pożyczył od p. Stanisława Wołodeckiego tego samego dnia jeszcze sumę nominalnych 5000 czyli rzeczywistych 4000 idealników, za prostem zeznaniem długu, napisanem w formie biletu. Suma ta była w istocie bardzo pożądaną dla reprezentanta połączonych trzech godności hidalga, władcy opinji publicznej

i finansisty, zamierzającego z przyzwoitym splendorem wstąpić w stan małżeński.

— Bądź co bądź — rzekł wieczorem szanowny doktor sam do siebie, umieszczając pożyczoną kwotę w szufladce koło łóżka, do którego kłaść się zamierzał — bądź co bądź, należy przyznać, że trudno o człowieka, któryby w przeciągu dwudziestu czterech godzin z lepszą gracją pozbył się 54.000 idealników, jak ten Wołodecki. Niech mi kto powie, że nie znam się na ludziach! A zapomniałem jeszcze dodać, że pozbył się przytem i panny, niepospolicie przystojnej. *Ma foi* — jak mówi hr. Cedro — wcale przystojna. Ba, dobrze że sobie przypomniałem — muszę jutro spytać się Wołodeckiego, czy to prawda co Cedro utrzymuje, że »*ma foi*« znaczy »na moją wątrobę.« Coś mi się zdawało, że mię Cedro bierze na fundusz od pewnego czasu.

I usnął spokojnie.

— Bądź co bądź, myślał jednocześnie sekretarz Kluszczyński, wybornie to wszystko pokierowałem. Wołodecki dał się ugłaskać, i będę miał zięcia z całą famiiją grandów, z ogromnemi wpływami i z genjuszem finansowym, który zrobi miljony. Ale zje djabła, jeżeli mu dam więcej jak 25 tysięcy idealników po ślubie.

I usnął spokojnie.

— Bądź co bądź, jak będę na przyjęciu galowem u Ober-Komisarstwa, wypada mi być uprzejmą dla tej biednej panny Gozdawickiej, którą pozbawiłam konkurenta. Ciekawam, co mi Manio da na prezent ślubny. — Tak myślała panna Natalja.

I usnęła spokojnie.

— Bądź co bądź, myślała pani Kluszczyńska wzdychając, może ja jestem stara i głupia kobieta, ale Natalja źle zrobiła, i żeby tylko kiedy krzywda tych Wołodeckich nie odbiła się na naszem dziecku, i na jej dzieciach! Ale Pan Bóg łaskaw, a Miłosiedzie Jego jest bez granic!

I usnęła spokojnie.

(C. d. n.)

PISMIENNICTWO POLSKIE.

(Alfons Daudet: Królowie na wygnaniu, powieść, tomów 2. Lwów, Księgarnia Polska 1880.)

Daudet jest republikaninem czystej wody. Zapatrywania swoje polityczne wypowiadał on już kilkakrotnie w swych utworach, a zawsze okazywał się zwolennikiem republikańskiej formy rządu. Nigdzie jednak tendencja ta nie wystąpiła tak jaskrawo, jak w powieści, która w tłumaczeniu polskiem wyszła obecnie z druku. Godzi się przypuścić nawet, że autor w tej najświeższej powieści swojej chciał wypowiedzieć daleko więcej, aniżeli w istocie wypowiedział, z luźnych zdań rzuconych tu i ówdzie możnaby wnosić, że Daudet pragnął dowieść, iż w obecnych warunkach w całej Europie jedna tylko republikańska forma rządu jest możliwą. W przeprowadzeniu przecież tej tendencji stało się to, co zazwyczaj zdarza się prawdziwym literackim geniuszom, wzgląd artystyczny pochłonął tendencyjność pierwszego planu i założenia, a rozwiązanie wykazało zaledwie część małą tego, co sobie ułożył autor. Rozwiązanie dowiodło tylko prawdy dawno znanej fizjologji, że rodziny arystokratyczne, łącząc się ciągle w najbliższem krewnych lub powinowatych kole, w dalszych pokoleniach degenerują się, a życie hulaszcze i wesołe przodków, mści się okropnie na potomkach.

Pod względem czysto artystycznym przecież „Królowie na wygnaniu" właśnie skorzystały na tem uchyleniu się tendencji w dalszym rozwoju psychicznym charakterów powieści. I stanęły obok siebie świetnie narysowane postacie energicznych fanatyków i zblazowanych reprezentantów wielkich rodów, a nad tem wszystkiem stanęła na piedestale wyniosłym kobietamatka. Nie wszystkie figury, odgrywające role w „Królach na wygnaniu", są równie wykończone, ale wszystkie w ogóle są i oryginalne i typowe. Powiedzielibyśmy, że żal nam, iż tak jaskrawy, a historycznie prawdziwy typ księdza fanatyka, który przygotowuje powstanie w Dalmacji, jest na każdem miejscu gdzie tego sprawa wymaga, cofnięty jest zanadto w głąb sceny, do tego stopnia, że widzimy go zazwyczaj zdala, niby cień przesuwający się w głębi; księdza Alfonsa żal nam, bo jakkolwiek zdala postać jego więcej wywołuje grozy swą tajemniczością, wysunięta na pierwszy plan, mogłaby stanąć obok najwspanialszych charakterów powieści, obok królowej Fryderyki i Elizeusza. Bo i tak tylko te trzy postacie są istotnemi charakterami — reszta zasługuje ledwie na nazwę typów, i to — komicznych.

Pierwiastek ten negatywny — komizm jest straszną ironią w obec działania i nadziei królowej i Elizeusza, w obec wyobrażeń, jakie mamy o powadze i podniosłości powołania królewskiego. Ten król operetkowy „Chrystjan II i całe jego otoczenie" ta rzesza cała wygnanych królów, która stoi po za nim, a której przedstawicielem jest idjotyczny książę Axel — to kontrast straszliwy twardo przy swych zasadach stojącej Fryderyki i posągowej postaci Elizeusza. A obok tych łachmanów świecących, które pozłaca ostatni promień blasku, jaki rzuca korona, jakby dla porównania postawił autor istotnych łachmaniarzy, co sprzedają i kupują wszystko, nie cofną się przed niczem, u których honor i cnota ma tyle wartości, ile za nie złota zyskać można. Ludzie ci jakkolwiek wiele ich rozdziela, tak jak w życiu tak i w powieści znaleźli się razem i stanowią szajkę rozbójniczą, która tysiące środków ma w ręku, aby wyzyskać i wyssać do ostatka tego, co raz w ich ręce popadnie. Szajkę tę składają Tom Levis, Sefora Leemans i jej ojciec. Typy podobne są możliwe tylko w wielkiem mieście, może tylko w Paryżu, ale mają one znamiona tak ogólno ludzkie, że kto ich nie widział, uwierzyć musi w ich istnienie pomimo tego, tyle mają one cech prawdy i rzeczywistości. Trójka ta hultajska, którą łączą wypadki z głównymi aktorami powieści jest cudowną sztafażą głównego obrazu; jest jego ubarwieniem i urozmaiceniem. Te trzy figury zdają się być malowane ręką niderlandzkiego malarza realisty na tle idealnem podłożonem przez Tycjana, wyglądają jak grupa obdartych włóczęgów, co z uśmiechem skazania rozparła się u kolumn marmurowych, królewskiej sali.

Czytelnik więc widzi z tego cośmy dotąd powiedzieli, że w „Królach na wygnaniu" Daudeta nie braknie barw ni kolorytu. Niepotrzebujemy w obec tego dodawać jeszcze słów polecenia. Samo nazwisko Daudeta wystarczy, aby zachęcić każdego do odczytania tych dwóch tomów powieści, która należy do najlepszych utworów współczesnej literatury powieściowej.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Epoka wycieczek, poziomek, kwiatów, młodych ogórków, festynów, młodych kartofelek i innych drobnych przyjemnostek życia ludzkiego...

Niebo uśmiechnięte, aż rozkosznie się człowiekowi robi, gdy w górę spojrzy, w nocy księżyc duży i jasny, i, mój Boże, jakby to było dobrze na świecie, gdyby nie ten brak gotówki...

Żebym tylko tych zachwytów nie wypowiedział w złej chwili. Może właśnie, gdy czytelnicy do rąk wezmą te słowa, będzie znowu słota i zimno syberyjskie. U nas bo nie żartować i zawsze jak dzienniki coś o pogodzie napiszą (a czynią to wtedy, jak nie ma nic innego do pisania), to pewnie się odmieni.

Tymczasem używamy, jak to powiadają, „jako pies w studni". Dzień w dzień prawie jakaś wycieczka albo festyn, otwarcie jakiegoś nowego zakładu kąpielowego, albo też inna heca tego rodzaju. O biedny losie reportera dziennikarskiego, który biegać musi z ogrodu miejskiego na strzelnicę, ztamtąd na Pohulankę, potem znów na Wysoki Zamek, a tam znowu dalej aż do krzywczyckiego lasku. I to wszystko skrupia się jeszcze na jeden dzień świąteczny, kiedyby się chciało przecież raz zapomnieć o wszelkich możliwych sprawozdaniach i spokojnie, bez gorączki przepędzić dzień jeden i nie mieć palców atramentem zawalanych.

Żeby przynajmniej już raz wybudowano te wszystkie zapowiedziane gałęzie tramwajów; jeszcze byłoby znośniej wynosić się za rogatki. Tymczasem mimo że tramwaj ma tak niezwykłe powodzenie wewnątrz śródmieścia, dalsza jego budowa do rogatek niezwykle powoli następuje.

Od rozwoju linji tramwajowych spodziewać się możemy, że raz nareszcie Lwów doczeka się tego, co każde większe i stołeczne miasto europejskie posiada aż do zbytku, a mianowicie wygodnych i przyjemnych miejscowości pozarogatkowych, urządzonych z komfortem, gdzieby można w piękne dnie letnie pojechać po południu na odpoczynek i spożycie dobrej kolacyjki. U nas tego nie ma prawie wcale, i jeżeli się np. wyjedzie w prześliczną prawdziwie okolicę po za rogatkę Łyczakowską, obfitą w piękne i romantyczne krajobrazy, to jakkolwiek oczy tam nasycić można, ale inny organ, także bardzo ważny, zupełnie nie jest zadowolonym, chyba że się wzięło ze sobą zapasy. W pierwszem lepszem niemieckiem mieście byłoby już tam kilka przynajmniej parków i restauracji. Gdy się tramwaje aż do rogatek rozgałęzią i ułatwią w ten sposób dostanie się na świeże powietrze, bezwątpienia znajdą się i u nas przedsiębiorcy.

W projekcie przyszłych linji tramwajowych leży jedna bardzo ważna i obiecująca wiele przyjemności. Mają mianowicie zrobić odnogę, prowadzącą na Wysoki Zamek. Na pochyłości góry byłaby urządzona kolej łańcuchowa, któraby pasażerów za małą opłatą przewoziła na górę. Uroczy park nie stałby wtedy takiemi pustkami, jak obecnie.

Ale to wszystko należy jeszcze do przyszłości, kto wie jeszcze jak dalekiej!

Tymczasem na wycieczki jeździmy pospolitemi, średniowiecznemi dorożkami i mimo to zabawa czasami nam się udaje. Tak było ostatniej niedzieli na wycieczce do krzywczyckiego lasu, urządzonej staraniem męzkiego chóru galicyjskiego towarzystwa muzycznego. Było ze sześćset osób i bawiono się ochoczo. Już to chórowi temu oddać należy słuszność, że nietylko tak dobrze śpiewa, iż nie ma sobie u nas równego, ale i również dobrze bawić się potrafi. Chóry świetnie wypadły na świeżem powietrzu i prawdziwą furorę zrobiły humorystyczne kwartety kompozycji pana Genée, jak ballada żabia z towarzyszeniem kwakania i „włoska sałata“ ze swemi niezliczonemi psikusami i językiem włoskim, wybranym z muzycznej kuchni...

* * *

Ale, *à propos* sałaty włoskiej. Bezpośredni od niej skok do nowej operetki „Kadet okrętowy,“ wystawionej na scenie naszego teatru, w którym wesoła muza panuje teraz samowładnie i tylko dla wypoczynku operetkowych artystów dają się komedje, dramata, i inne temu podobne nudziarstwa obliczone na poważniejsze głowy. Kompozytorem „Kadeta okrętowego“ jest ten sam p. Genée co wydał na świat „Włoską sałatę.“ Tutaj mamy także z sałatą do czynienia, tylko jest ona zaprawiona na sposób portugalski. Rzecz dzieje się w ojczyźnie Kamoensa, i byłaby dość wesołą gdyby libretto obrobił Francuz a nie Niemiec, p. Zell. Wystawa, jak na nasze stosunki jest istotnie bardzo dobrą i jeszcze żaden Szekspirowski dramat nie był z takim splendorem wystawiony.

O nowościach polskich w dramacie i komedji nie słychać jakoś wcale; dawano tylko nową tłumaczoną z francuskiego komedję Delpita „Syn Korali,“ która w ubiegłym roku tak wielkie miała powodzenie w Paryżu.

Po mieście chodzi pogłoska, że między dyrekcją naszego teatru a Pragą nastąpiło porozumienie co do wyjazdu na kilka przedstawień do stolicy królestwa czeskiego. Nie wiemy ile jest w tem prawdy, ale gdyby wyjazd ten mógł przyjść do skutku, to byłoby to bardzo pożądanem i pewni jesteśmy, że nasi artyści mieliby w Pradze powodzenie.

* * *

W sejmie oczekiwano we wtorek burzliwego posiedzenia. Na porządku dziennym była sprawa nietykalności posłów, o której przebiegu wszystkim już wiadomo i nie potrzebujemy podawać bliższych objaśnień.

Posiedzenia sejmu naszego odbywają się tak spokojnie, że publiczność naczytawszy się opisów posiedzeń francuskiej izby deputowanych żądna była choć raz i u nas zobaczyć skandalik parlamentarny.

Galerje i loże były przepełnione, i wszyscy z niecierpliwością oczekiwali ostatniego punktu porządku dziennego. Pięknych i ciekawych twarzyczek było dużo, w loży parterowej widzieliśmy nawet jakąś nieznaną piękność we Lwowie, oraz panią marszałkową, według utartego u nas parlamentarnego zwyczaju z robótką włóczkową w rączkach... Cisza zrobiła się uroczysta gdy poseł Zyblikiewicz zaczął czytać sprawozdanie komisji i akcentował ważniejsze ustępy w właściwy sobie sposób gorączkowy. Oczekiwano, że za moment mina wybuchnie. I, o niespodzianko, wszystko odbyło się poważnie i spokojnie, jak na poważne ciało przystało, bez żadnej awantury, chyba, że do niej zaliczyć musielibyśmy starcie się krótkie lecz ostre posła Zyblikiewicza z hr. Krukowieckim. Na ten raz więc zdołano zażegnać burzę.

* * *

W Niedzielę odbyło się w sali ratuszowej posiedzenie ogólne założycieli kasyna literacko-artystycznego. Dotychczas roboty około wprowadzenia w życie tej instytucji prowadzone były przez komitet, którego skład juześmy poprzednio podali. Komitet ten został obecnie wzmocniony przez walne zgromadzenie nowymi członkami i rozpocznie praktyczną część zadania. Wybrani zostali do uzupełnienia komitetu pp. Filip Zaleski, Tomasz Rayski, Marchwicki, prof. Zacharjewicz i Apollo Lubicz.

Zapisała się do kasyna już tak znaczna ilość członków, że o przyszłości jego już powątpiewać nie można. Zainteresowanie się w mieście jest bardzo wielkie.

Jednocześnie literaci i artyści krakowscy, za inicjatywą pana Ziemięckiego, zawiązali także kółko, które ma przeprowadzić klub tego rodzaju w mieście, które jest przeważnie siedliskiem artystów. Życzymy aby i tam instytucja nowa z równie gorącem sercem została przyjętą.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Karol Brzozowski, znakomity poeta polski, wicekonsul hiszpański w Syrji, przybył na kilka miesięcy do Lwowa.

*** Dowiadujemy się że G. H. Niewęgłowski autor znakomitych podręczników matematycznych: Arytmetyka, Geometrja, Trygonometrja, Algebra i Mechanika rozumowa, pracuje obecnie nad „Geometrją analityczną.“ Wszystkie prace powyższe wydane zostały kosztem nieodżałowanej pamięci hr. Jana Działyńskiego; autor obecnie niepokoi się czy po śmierci Działyńskiego znajdzie nakładcę na nowe swoje dzieło. Żałować należy, że z podręczników Niewęgłowskiego, którym krytyka tak wysoką wartość przyznała, kraj prawie nie odnosi korzyści, gdyż nasza Rada szkolna daje pierwszeństwo niezliczonym przeróbkom przestarzałej metody Mocnika z krzywdą tak zdolnego i tak zasłużonego autora jak Niewęgłowski, który całe życie swoje poświęcił na wzbogacenie literatury naukowej najodpowiedniejszemi podręcznikami matematycznemi. Szkoda że nie pisał swoich dzieł po niemiecku, możeby w takim razie Rada szkolna poleciła je przetłumaczyć i do użytku szkolnego przyjąć.

*** Pan Bronisław Babel wydał broszurę p. t. „Przyszłość Krynicy,“ w której opierając się na własnych studjach, oraz na pracach innych autorów polskich i niemieckich, przedstawia dzisiejszy stan tego tak ważnego dla kraju zakładu zdrojowego, jego niedostatki, oraz wskazuje środki zaradcze w celu postawienia go na stopie odpowiedniej, na jakiej ze względu na rzeczywistą wartość leczniczą staćby powinien. Właśnie obecnie mieszkańcy Krynicy wnieśli petycję do Sejmu domagając się zaliczenia Krynicy do rzędu miast, a p. Babel bardzo gruntownie udowadnia, iż takie postanowienie jak najzbawienniejsze dla Krynicy wydałoby owoce.

*** Janek Mrówka (Jeleński) przygotowuje do druku nową pracę ludową pod tyt. „Pogadanki w karczmie“.

*** Znany nasz publicysta p. Teofil Merunowicz, wydał w osobnej broszurze „Siedm próśb wniesionych do Wysokiego Sejmu krajowego galicyjskiego w sesji roku 1880 w sprąwie równouprawnienia żydów.“

Nauka.

*** Rektorem uniwersytetu lwowskiego na rok 1880/81 został wybrany ks. dr. Klemens Sarnicki, profesor teologji, prowincjał OO. Bazyljanów i radny m. Lwowa.

*** W londyńskim instytucie archeologicznym urządzoną została wystawa broni starożytnej. Okazy wystawione w liczbie około 250 sięgają dziesiątego wieku przed naszą erą; najbliższe należą do epoki Stuartów. Broń i zbroje umieszczone są porządkiem chronólogicznym. Jest tu kilka okazów sztuki etruskiej i greckiej, oraz wielka liczba przedmiotów wyrobu rzymskiego i wschodniego.

*** Zurychska politechnika obchodzić będzie w dniach 21. lipca i 1. sierpnia 25-letnią rocznicę swego istnienia.

*** *Wpływ lasów na deszcz i wilgotność powietrza.* P. Fantrat (Compt. rend. T. 89 str. 1051) robił od roku 1874 spostrzeżenia meteorologiczne nad wpływem drzew iglastych i liściastych na warstwy powietrza, unoszącego się nad ich koronami. Porównanie wilgotności warstw tych, z wilgotnością warstw w takiejże wysokości, ale nad otwartem polem leżących, okazało, że powietrze nad lasem więcej zawiera pary wodnej, niż nad ziemią, a różnica ta nad lasem iglastym jeszcze jest wyraźniejsza.

Oznaczenia stopnia wilgotności przy drzewach liściastych robione były o godzinie pierwszej, a przy drzewach iglastych o trzeciej z południa. W trzech tablicach podaje p. Fantrat średnie miesięczne cyfry wilgotności przy jednych i drugich, za czas od września 1877 do sierpnia 1878 rokn, oraz miesięczne ilości drzewa spadłego w lesie sosnowym i liściastym. Cyfry te wykazują, że waga przeciętna pary wodnej, zawartej w jednym metrze sześciennym powietrza nad lasem iglastym wynosiła 8,66 gram.; nad polem otwartem 7,39 gram.; przewaga więc o 1,27 gram przypada na korzyść pierwszego. Nad lasem liściastym waga pary wodnej w takiej samej objętości powietrza wynosiła 8,46 gr., nad polem otwartem 8,04 gr.; przewaga na korzyść lasu wynosi 0,42 gr. (ściśle biorąc, cyfry te nie dają się porównywać z całą dokładnośoią, bo godziny obserwacji nad lasem iglastym i liściastym były inne, a także i wysokość nad niemi odmienna. Pomimo tego jednak, p. Fautrat sądzi, że większe przyciąganie pary wodnej przez drzewa szpilkowe wątpliwości nie ulega).

Co do ilości spadłego deszczu, to nad lasem liściowym zebrano w 1878 roku 775 milimetrów wody — w sąsiedztwie jego na otwartem polu 756 milimetrów, przewyżka na korzyść lasu 19 milim. W tymże samym czasie na korony sosen spadło 774 milim. wody, na gołem zaś polu w tejże samej wysokości 728 milim. Różnica na korzyść sosen 46 milim. Lasy zatem, a przeważnie iglaste, posiadają niezaprzeczenie ciekawą własność przyciągania z chmur deszczowych większej ilości wody, niż łąki i pola uprawne.

Treść Nr. 26. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.

Koniec Tomu dziesiątego.